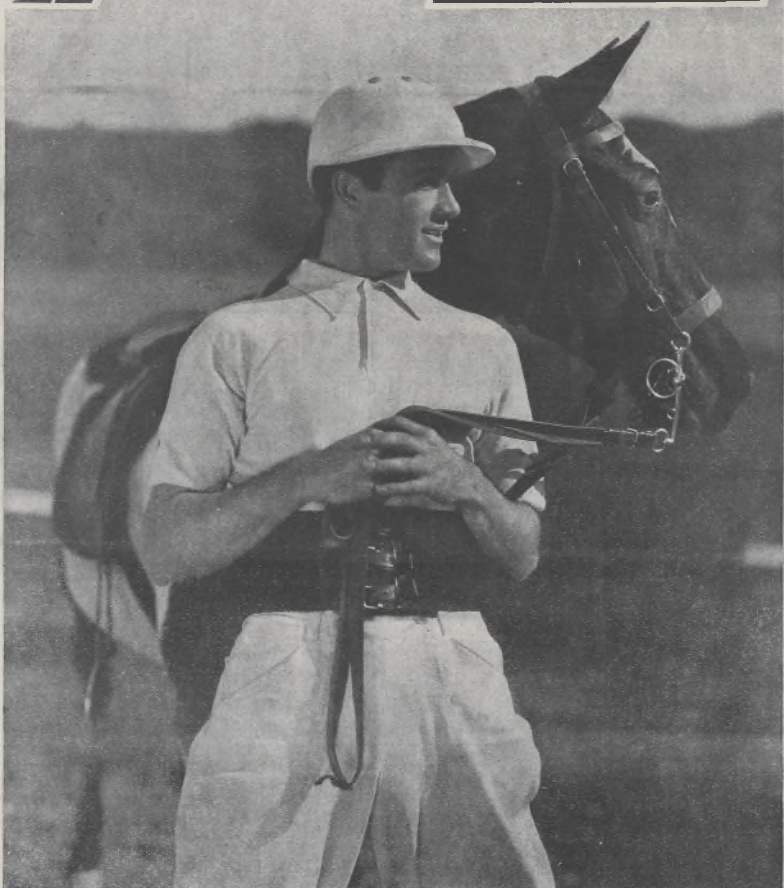
7 DNI

CENA 50 GR

Rejentalnie stwierdzony nakład: 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Charles Rogers jest namiętnym amatorem gry w polo. (Photo Paramount).

Polski artylerzysta tureckim feldmarszałkiem

Długo przewlekająca się sprawa sprowadzenia do Polski zwłok generała Józefa Bema dobiega do końca. Oto dnia 13 b. m. wyjechała do Aleppo specjalna delegacja w osobach: pułk. Przedrzymirskiego, prof. Wojciechowskiego z Tarnopola, rtm. Naimskiego oraz mjr. rezerwy hr. Bem de Cosban przedstawiciela rodziny.

Po uroczystej ekshumacji zwłok, które złożone będą w specjalnym wagonie p. Prezydenta Rzplitej nastąpi w dniu następnym wyjazd przez Bułgarję, Rumunję, Węgry i Czechosłowację do Polski.

W Tarnowie bowiem, w woj. krakowskiem, gdzie Józef Bem urodził się w r. 1791, wybudowano już wspaniałe mauzoleum i tam też znajduje się główny komitet sprowadzenia zwłok jego do kraju, który nagle stanął wobec zgoła nieprzewidzianej przeszkody. Zanim jednak przystąpimy do omówienia tej sprawy, rzućmy krótko okiem na życiorys tej wprost niezwykłej i w całej pełni bohaterskiej postaci.

Rodzina szlachecka Bemów znaną była od 400 lat w Krakowie i we Lwowie. Ojciec Józefa Bema był prawnikiem, a ponadto posiadał majątek ziemski w woj. krakowskiem. Młody Józef Bem studjował w Uniwersytecie Krakowskim, a kiedy w r. 1809 Kraków zajęty został przez wojska ks. Józefa Poniatowskiego, porzucił studja i zgłosił się do baterji artylerji, gdzie został przyjęty jako prosty kanonier. W tym charakterze też odbył w armji ks. Józefa całą dalszą kampanję przeciw austrjakom.

Po skończonej wojnie przeniesiony został ze względu na jego zdolności do korpusu kadetów w Warszawie, a po ukończeniu tegoż w stopniu podporucznika dostał się do szkoły aplikacyjnej, z której w randze porucznika wstąpił do armji czynnej. Wojnę Napoleona z Rosją odbył w baterji artylerji konnej Wład. Ostrowskiego; odznaczył się szczególnie pod Rygą, a w czasie odwrotu wojsk napoleońskich 1813 r. za dzielne czyny przy obronie Gdańska otrzymał krzyż francuskiej Legji Honorowej. Gdy po upadku Napoleona utworzono Królestwo Kongresowe, Józef Bem w zreorganizowanej armji polskiej pełnił służbę w pierwszej baterji artylerji konnej i wykładał w szkole artyleryjskiej. Naraził się jednak w. ks. Konstantemu, który bezlitośnie gnębił wszystkie śmielsze umysły w wojsku; został przez niego skazany na więzienie, a po odbyciu kary wyjechał do Lwowa, gdzie pracował nad techniką i mechaniką, a także wydał pierwszą część swego dzieła „O maszynach parowych". — Na wieść o wybuchu powstania listopadowego pośpieszył niezwłocznie do Warszawy i oddał się do dyspozycji rzadu narodowego. Otrzymawszy dowództwo jednej baterji artylerji konnej w stopniu majora, brał udział w bitwach pod Grochowem, pod Wawrem ,pod Dębem Wielkim, a szczególnie uwydatniły się jego zdolności w bitwie pod Iganiami, w której ze swemi 16 działami przyczynił się do walnego zwycięstwa ośmiotysięcznej armji polskiej nad 20-to tysięcznym korpusem moskali z 40 armatami. Mianowany podpułkownikiem uratował następnie pod Ostrołęką armję polską od zupełnej zagłady. Gdy bowiem wojska polskie, pobite przez przeważające siły rosyjskie, zaczęły cofać się w nieładzie, wjechał Bem w pełnym galopie ze swoją baterją na nacierające kolumny piechoty rosyjskiej, które już przeprawiły się przez Narew; zmusił je do ucieczki; powstrzymał przeprawę dalszych pułków, a pod osłoną dymów z ognia jego dział zdołały się szeregi polskie na nowo uformować i rozpocząć regularny odwrót.



Generał Bem pod Ostrołęką. *St. Bagieński.*

I ten właśnie moment odtworzył Stanisław Bagieński zupełnie ściśle według kronik wojennych i po przeprowadzeniu na miejscu studjów terenowych w swojej wielkiej kompozycji batalistycznej: „Józef Bem pod Ostrołęką". Widzimy tu podpułkownika Bema na koniu kierującego ogniem swoich dział; za nim — trębacza; przed nim — uciekającą piechotę rosyjską, a na dalszym planie — powstrzymane przez niego główne siły rosyjskie. Obraz ten, tak świetny w układzie, kompozycyjnym i opracowaniu szczegółów, powinien znaleść się w naszych zbiorach państwowych.

W dalszym ciągu powstania listopadowego odznaczył się Józef Bem jeszcze podczas obrony Warszawy, gdzie awansował na pułkownika, a krótko potem na generała brygady, a po upadku powstania udał się wraz z innymi towarzyszami broni na wygnanie do Francji. Przebywając w Paryżu nie mieszał się do sporów partyjnych emigracji, natomiast pojmując swój obowiązek jako nieustanne przygotowywanie się do walki orężnej z Rosją i chcąc iść śladem Dąbrowskiego, chciał formować legjon polski w Portugalji. Zamiar ten jednak nie doszedł do skutku.

W roku 1848, gdy przeciw Austrji, która brała udział w rozbiorach Polski, wybuchło powstanie narodów przez nią uciskanych, pośpieszył Bem na Węgry i otrzymał dowództwo węgierskich sił powstańczych w Siedmiogrodzie. Niewielkie to były siły. Wojska cesarskie były liczebnie czterokrotnie silniejsze a ponadto posiadały w swoim ręku wszystkie twierdze i główne ośrodki komunikacyjne. Pomimo to jednak generał Bem, odniósłszy cały szereg świetnych zwycięstw, oczyścił w stosunkowo krótkim czasie Siedmiogród od Austrjaków i pobił nadeszłych im z pomocą Rosjan.

Niezrównane sukcesy Bema w Siedmiogrodzie przyczyniły się do zawarcia korzystnej dla Węgrów ugody. Po tej ugodzie Bem wraz z innymi polakami, schronił się do Turcji, która szczerze sprzyjała Polakom. Nieodzownym warunkiem wstąpienia do armji tureckiej było przyjęcie religji mahometańskiej. Generał Bem przyjął islamizm i wraz z imieniem Murata-Paszy, otrzymał rangę feldmarszałka Turcji, przyczem polecono mu przeprowadzenie reorganizacji całej armji tureckiej. Praca Bema w Turcji dla Polski była zbyt wyraźną, więc niebawem na skutek interwencji ambasadorów Austrji i Rosji Turcy byli zmuszeni internować go w Aleppo w Syrji, gdzie też wkrótce na skutek niesprzyjającego dla niego klimatu i mając trzy otwarte rany, umarł w r. 1850.

I ta przyczyna, że Józef Bem umarł jako mahometanin była powodem trudności w sprowadzeniu zwłok bohatera.

Feliks Lubierzyński.

Co słychać na świecie?

ANGLJA. Cały świat śledzi z zainteresowaniem kształtowanie się przyszłej polityki wewnętrznej angielskiej. Jak dotychczas, wiadomo jedynie, iż chociaż partja pracy nie osiągnęła bezwzględnej większości, to nawet marzyć nie można o t. zw. gabinecie koalicyjnym. Mac Donald ujmuje silną ręką ster rządów i z zapowiedzi jego można wywnioskować, iż nie będzie się oglądał na ew. trudności ze strony liberałów z Lloyd Georgem na czele i to tem więcej, iż w partji tej zarysowuje się rozłam. Co do polityki zewnętrznej należy zanotować z uznaniem zapowiedź Mac Donalda, że pierwszą jego troską będzie sprawa przeprowadzenia definitywnego rozbrojenia, by raz wreszcie doprowadzić do skutku traktaty, obowiązujące dotychczas niestety tylko w teorji.

AMERYKA. Prezydent Hoover proponuje w nowym swoim planie rozbrojeniowym, by Anglja zrezygnowała z budowanych obecnie i do budowy uchwalonych nowych krążowników wojennych. Wzamian za to zobowiąże się do tego samego i Ameryka. Propozycja Hoovera jest jakby dopełnieniem przyrzeczenia pacyfikacji, danego ze strony Mac Donalda. Ponieważ Hoover proponuje, by porozumienie się w sprawie zaprzestania budowy okrętów, doszło jak najszybciej do skutku, ciekawą będzie rzeczą jak na to zareaguje Mac Donald, gdyż z tego będzie można wywnioskować, czy deklaracja tego ostatniego była dana jedynie dla formy, czy też dlatego, by ją rzeczywiście uskutecznić.

NIEMCY. Kto nie był w dniach 2-go i 3-go czerwca w Monachjum, ten nie może sobie stworzyć dostatecznie realnego obrazu nastrojów politycznych dzisiejszych Niemiec. Kraj ten dyszy wprost żądzą odwetu za poniesioną klęskę i z ręką na sercu można powiedzieć, że należy dzisiaj do bezwzględnie najbardziej militarnie usposobionych państw. Dowodem tego niech będzie wspaniała rewja 112 tysięcy „Frontkampferów", którzy — wśród niemilknących okrzyków — przeciągali do późnej nocy po ulicach miasta Monachjum i zaprzysięgli na nowy swój symbol: miecz i krzyż, że „jak długo trwać będzie niesprawiedliwy pokój i bajka niemieckiej zbrodni wojennej, tak długo idea odwetu gorzeć będzie w ich piersiach". Krzyczano: „Pod mur z Remarquem" i krzyki te słyszeć musiał Schacht w Paryżu, skoro zdobył się na tyle bezczelnej wprost odwagi, by półoficjalnie oświadczyć, iż „nowy plan reparacyjny nie jest żadnem rozwiązaniem problemu gospodarczego i nikt nie może twierdzić, jakoby plan ten był wykonalny". Nic też dziwnego, że narodowcy frondują również, chociaż bezskutecznie, przeciwko wymienionemu planowi.

ROSJA. Na terytorjum Sowietów wrzenia trwają nadal. Chłopi dają do zrozumienia w sposób bardzo dobitny, bo przez dalsze mordowanie urzędników sowieckich, iż dosyć już mają dotychczasowych rządów. Ekspedycje karne, wysyłane przez rząd do „zbuntowanych" wsi, przysparzają jedynie ilość niezadowolonych i bezwiednie przygotowują bazę nowych wystąpień antyrządowych. Jeszcze jednym dowodem depopularyzacji gospodarki sowieckiej jest fakt, iż na półtora miljarda rubli wewnętrznej pożyczki wycofano w ciągu ostatnich tygodni ponad 500 miljonów.

POLSKA. Niedawno złożył rządowi polskiemu koncern Harrimana ofertę, mającą na celu przeprowadzenie elektryfikacji Polski. Nie wchodzimy w meritum tej bezsprzecznie niesłychanie ważnej sprawy dla Polski. Zaznaczamy tylko, że jakiekolwiek będą losy tej oferty — świadczy ona o zainteresowaniu się obcego kapitału sprawami polskiemi, nie dla czego innego, jak tylko ze względu na olbrzymie możliwości rozwojowe Polski, które widzą wszyscy i w które niestety nie chcą uwierzyć jedynie sami Polacy. Z listu Marszałka Piłsudskiego, złożonego w sprawie b. min. Czechowicza, można przypuszczać, że sprawa ta będzie umorzona i to tem więcej, iż jak pisze Marszałek, oskarżenie to „wydaje się nie tylko nonsensownem ale i wysoce nieetycznem". Co dotyczy ekscesów lwowskich, wstrzymujemy się narazie od zabierania w tej sprawie głosu, aż do definitywnego ustalenia winy odnośnych czynników, zaznaczając jednocześnie, iż prowadzi się energiczne dochodzenia.

Ja...el.





Podczas otwarcia ostatniego Zjazdu Związku Uczonych i Artystów w Niemczech, zostali udekorowani za swą wybitną działalność naukową i artystyczną orderem „Pour le Merite" profesor filozofji, tajny radca stanu Stumpf z Berlina (pierwszy), nauczycielka Käta Kollewitz z Berlina (druga) i kapelmistrz Furtwängler. (Wide World)



M. Venizelos, otrzymał dymisję ze stanowiska szefa rządu od prezydenta M. Condouriotisa.



Kapitan Dewar zawieszony w prawach oficera, mianowany adj. morskim króla Jerzego V.



Ambasador Japonji w Paryżu Adatci przewodniczący Ligi Narodów w Madrycie.



Pietkiewicz z Warszawianki pobił rekord Polski w biegu na 5000 m. (Fot. Walter)



Z okazji Powszechnej Wystawy Krajowej przybyła do Polski wycieczka z Łotwy, z pp. A. Etglisem, wiceministr. rolnictwa, Skubinszem dyr. zjedn. kooperatyw, Wolandem, burm. m. Dźwińska, d-rem. Ziwem, wybitn. ekonomistą, Charitonem, dyr. Izby Polsko-Łotewskiej w Rydze i kon. Kolankowskim na czele. Mili goście byli serdecznie podejmowani w Poznaniu i w Warszawie, gdzie dano im możność zapoznania się z dorobkiem pracy polskiej na polu kultury i organizacji gospodarczej. (Fot. A. Sitkowski).



Rotm. Constantinescu zdobył I nagrodę „potęgi skoku" w Warszawie (Fot. Walter)



Janina Leitzkówna, najmłodsza solistka Opery Warszawskiej wystąpiła z dużem powodzeniem w szeregu baletów oraz w tańcach solowych (Fot. J. Malarski)



P. Marja Święcicka, uczennica Paderewskiego, znana pianistka, której ostatnie koncerty w Paryżu cieszyły się wielkiem powodzeniem.



Nowa wschodząca gwiazda dramatyczna na firmamencie teatralnym spotyka się coraz częściej ze szczerem uznaniem krytyki i publiczności.



W ubiegłą niedzielę odbył się walny zjazd delegatów Związku Obrońców Ojczyzny. Zjazd zaszczycił swoją obecnością Pan Prezydent Rzeczypospolitej w otoczeniu członków Rządu. (Fot. Sitkowski).



Na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego odbył się wiec przy udziale paru tysięcy akademików. Celem wiecu było omówienie wypadków lwowskich. (fot. Światowid)

MARJAN HEMAR.

Debiut komedjopisarza

(Odczyt wygłoszony przez Radjo).



Fot. Radjotyp.

Szanowni słuchacze! Nazwisko Hemar, imię Marjan, lat 28; bardzo przystojny brunet o posągowych kształtach i p i ę k n y m czarnym wąsiku.

Pozatem zasłużenie, czy nie, mam wśród rodziny i najbliższych znajomych opinję człowieka dowcipnego. Zanim odrobię dzisiaj to, co do mnie należy, chciałbym właśnie powiedzieć parę słów o niebezpieczeństwie takiej opinji, opinji człowieka dowcipnego — chciałbym wam, Szanowni słuchacze, oszczędzić gorzkiego rozczarowania. Opinja człowieka dowcipnego — jest to przekleństwo dowcipnego człowieka. Oczyma duszy mojej widzę was w tej chwili — was, dwustu piętnastu abonentów i trzysta tysięcy pajęczarzy, jak zacierając ręce zakładacie na uszy ciepłe słuchawki, jak rozsiedliście się wygodnie dokoła głośnika domowego i przy trzaskającym kominku, choć za oknami huczy śnieżyca, mrugacie na siebie z zadowoleniem: Pss — Hemar gada — będziemy ryczeć ze śmiechu...

Biedni słuchacze, jakże się mylicie! Nie będzie żadnych ryków. Dowcipny pisarz jest w pożyciu towarzyskiem zawsze nieinteresujący i niewyspany. Mówi zawsze nudnie rzeczy poważne. Zazwyczaj spieszy się do domu, bo ma jeszcze na jutro napisać wesoły feljeton a kiedy mu wpadnie jaki kawał, to się z tem w towarzystwie nie zdradza, bo boi się, aby kto inny nie puścił kawału na miasto, zanim go on sam nie wydrukuje w feljetonie.

Kto z was, Szanowni słuchacze, ma piękne mieszkanie i czasami urządza małe zebrania towarzyskie, niech dla przykładu i na próbę zaprosi kiedy Antoniego Słonimskiego. Słonimski jest to człowiek dowcipny, ma przynajmniej taką opinję. Jakież będzie wasze wrażenie po przyjęciu pana Słonimskiego? Zobaczycie, że jest to facet w średnim wieku, łysawy i w binoklach. Wygląda jak każdy inny; rozpoznacie go tylko po tem, że będzie najwięcej jadł. Powie ze trzy dowcipy, z tego dwa będziecie już znali a trzeci dobry będzie mój. Doskonałe dowcipy będą robić wszyscy inni poto, aby się przed Słonimskim popisać. Na drugi dzień Słonimski wszystkie te doskonałe dowcipy spamięta i napisze w swoim feljetonie i w dalszym ciągu będzie miał opinję człowieka dowcipnego. Ale żadnych ryków nie będzie.

Wogóle na to, aby uzyskać ryk śmiechu — nie trzeba być człowiekiem dowcipnym. Na to wystarczy wysunąć komuś bliskiemu, z rodziny albo z przyjaciół krzesło z pod siedzenia, ażeby upadł; wtedy ogólny ryk śmiechu jest pewny — jeżeli krewny, lub przyjaciel złamie przytem rękę — śmiechom nie będzie końca i zabawa skończy się aż nad ranem. Szanowni słuchacze! przykładem moim zmierzam do skromnej prośby: nie oczekujcie odemnie kawałów, które zmienią kraj nasz ojczysty w rykowisko śmiechu. Jeżeli zwierzeniami mojemi uda mi się tu i ówdzie wywołać na waszych ustach inteligentny uśmiech, będę szczęśliwy i otrzymam w kasie Polskiego Radja przyrzeczone honorarjum — tem samem cel mojej prelekcji będzie osiągnięty.

Tematem moim ma być debiut komedjopisarza. To znaczy — ma być mowa o moich wrażeniach, kłopotach i przejściach związanych z wystawieniem mojej pierwszej komedji o tytule „Dwaj panowie B". Szanowni słuchacze, daję wam słowo honoru, że nie ja wybrałem sobie ten temat. Wybrała go dyrekcja radja i zawiadomiła mnie w sposób nieomal brutalny, że dnia dzisiejszego o ściśle określonej godzinie i minucie, mam mówić o tem, wyłącznie o tem, bez polemiki i bez erotyki, ze względu na słuchające dzieci, kobiety i starców.

Gdyby wybór tematu zależał odemnie, z pewnością nie mówiłbym w tej chwili tak wiele o sobie. Mówiłbym o czemś zupełnie innem, z polemiką i z erotyką — ze względu na słuchające dzieci, kobiety i starców. W tej chwili nie wiem wprawdzie o czem bym mówił, ale wiem, że byłby to temat wspaniały, interesujący i dowcipny. Jeżeli jednak zgodziłem się bez wahania na terror dyrekcji Polskiego Radja — stało się to z głębokich i istotnych przyczyn. Myślę bowiem, że najpiękniejszym probierzem sprawności literackiej jest umiejętność zastosowania się do tematu i do podanych ram. Dyscyplina, jakiej poddaje się literat ograniczając się do jednego tematu, ograniczając się ponadto do rozmiarów, w których musi pomieścić impet swej inspiracji — do dwustu wierszy feljetonu, do dwudziestu minut radjowego odczytu, do trzech trzydziestostronicowych aktów dramatu — ta dyscyplina jest błogosławieństwem literatury. Albowiem — i tu wchodzimy już w sedno mojego dzisiejszego odczytu — prawdziwy literat nie cierpi nigdy na brak tematu.

Prawdziwy literat cierpi na zbytek tematów. Zbyt wiele pomysłów narzuca mu się każdej chwili z siłą, którą przyrównać można jedynie do przybierania wody na Wiśle. Jednego tematu jeszcze nie przemyślał, a już pcha się drugi i trzeci, każdy kłóci się z każdym, każdy jest najważniejszy i domaga się natychmiastowej realizacji — o sz. sł. wszystkich zajęć i zawodów! trzeba mieć zaiste żelazne nerwy i wiele czasu, aby wytrzymać w ciężkim zawodzie literata i pisać mało, ale to, co dostatecznie w człowieku dojrzało. I gdyby mi np. dyrektor Polskiego Radja powiedział: Panie Hemar, niech pan kropnie dla nas na środę jaki dowcipny odczycik, o czem pan tylko chce — chodziłbym przez cały tydzień z piętnastoma pomysłami do odczycików, z dnia na dzień sypiałbym coraz gorzej, tobym zaczął, tamtegobym nie skończył, a we środę po południu zatelefonowałbym do Polskiego Radja, że jestem ciężko chory i niestety nie będę mógł, chociaż odczycik mam gotowy.

Tak samo właśnie było z tą moją nędzną komedją. Właściwie napisałem ją wogóle przypadkiem i bardzo tego żałuję, ponieważ dzisiaj widzę, że gdybym pomyślał nad nią jeszcze z pięć, sześć lat, napisałbym ją całkiem inaczej i znacznie lepiej. O temacie „Dwóch panów B." myślałem od ośmiu lat — i zawsze równocześnie z kilku innymi tematami. Nie znaczy to bynajmniej, abym myślał o tem osiem lat bez przerwy, o nie. Raz na parę miesięcy, ilekroć mi się nudziło myślałem sobie: wartoby się, jak Boga kocham, zabrać do tej historji — potem wpadała mi zaraz jakaś nowa scena, jakiś nowy kawał — potem zaraz wpadała mi na myśl scena z drugiego pomysłu i kawał do trzeciej komedji, albo koniec drugiego aktu z czwartego dramatu i potem zaraz wychodziłem na miasto.

Tak było przez osiem lat. I muszę przyznać, dlaczego wreszcie napisałem ósmego roku „Dwóch panów B." — napisałem tę sztukę z lenistwa. Tak jest. Miałem owego wieczora coś innego do roboty, miałem napisać krótki, króciuteńki skecz do Qui pro quo — skecz na dwie osoby i trzy minuty, poprostu nic, drobiazg, głupstwo. Ale jestem leniwy i strasznie mi się nie chciało. Siedziałem przy biurku i głowiłem się nad tem, jak to zrobić, żeby nic nie zrobić? Z nagłego impulsu chwyciłem pierwszy temat, jaki miałem w głowie w stanie dojrzałym, nawet nie, żeby napisać tę komedję, wprost przeciwnie — po to, żeby się nie udała, ale żebym miał moralne usprawiedliwienie, że nie mogłem napisać tamtego, bo miałem coś ważniejszego do roboty.

Zacząłem tę pisaninę o drugiej w nocy i jakby naumyślnie, jak na złość, zaczęła się walić ta powódź słów i o dziesiątej rano gotów był pierwszy akt. Potem już byłem za leniwy na to, aby wstać od tego biurka i już tak siedziałem przy niem jeszcze niespełna trzy dni, przerywając to lenistwo tylko spaniem, jedzeniem i spacerami po mieście. Czwartego dnia, jak na złość komedja była gotowa. To wszystko. Pisałem ją około 33 godziny.

Kiedy skończyłem tę robotę byłem bardzo szczęśliwy. Nie dlatego, że napisałem komedję, wprost przeciwnie, dlatego, że nie napisałem tego skeczu, który mnie nudził. W parę dni później przepisałem „Kochankę mieszkania" — bo „Dwaj panowie B." mieli początkowo tytuł „Kochanka mieszkania" — na czysto zaniosłem ją do kancelarji dyr. Szyfmana.

Też nie poto, żeby to zaraz wystawiać. Myślałem sobie — poleży to w kancelarji przez parę miesięcy, mole połowę zjedzą, potem p. Szyfman przeczyta, zwróci mi z tem, abym poprawił drugi akt, wtedy, zamiast poprawić napiszę ten skecz. Tymczasem, jak na złość — p. Szyfman zaraz sztukę przyjął, zaraz ją puścił w próby i w półtora miesiąca wystawił.

Jeszcze o jednem byłbym zapomniał — tytuł komedji nie jest mój. Mój tytuł brzmiał właśnie: „Kochanka Mieszkania" — był to tytuł nędzny i nie mógłbym dzisiaj mówić o nim w radju, ponieważ nie było w nim wprawdzie polemiki, ale była erotyka. Tytuł „Dwóch panów B" wymyślił sam p. dyr. Szyfman. Jest to tytuł znacznie lepszy, chociaż także nie idealny. Niema w nim coprawda erotyki, chociaż polemika jest, bo panów B. jest dwóch, ale to zawsze mniejszy grzech. Zresztą — gdzie dwóch panów B. tam trzeci korzysta.

W istocie skorzystałem na tej komedji wiele — nie napisałem owego skeczu.

Szanowni słuchacze — mój odczycik zbliża się szybkiemi krokami ku końcowi. Nadeszła premjera komedji. Siedziałem w loży dyrektorskiej i bardzo dobrze się bawiłem. Wiedziałem, że jako autorowi właściwie nie wypada mi śmiać się na głos z niektórych kawałów, toteż od czasu do czasu wychodziłem na korytarz i tam ryczałem ze śmiechu. Jestem bowiem człowiekiem dowcipnym i niezawsze piszę utwory tak nieinteresujące, jak niniejszy odczycik. A kiedy mnie łaskawa publiczność premjerowa, złożona w trzech czwartych z rodziny, przyjaciół i partnerów brydżowych wywoływała oklaskami na scenę, myślałem sobie, kłaniając się wdzięcznie to samo, co myślę i teraz. Myślałem sobie: o wielka niezmierzona rzeszo słuchaczy i widzów! Poco wam się śmiać z cudzych kawałów? Poco oddawać innym ciężko zapracowany grosz za rzeczy, które sami potraficie lepiej, bo wedle własnego gustu?! Sami sobie piszcie komedje, dramaty, wesołe odczyty, sami dla siebie układajcie kawały, wierszyki, piosenki, monologi i operetki!

To nie jest wcale takie trudne — wystarczy usiąść w domu, mieć coś zwyczajnego do roboty i do tej codziennej, uczciwej pracy znaleźć sobie odpowiednio silny wstręt. Albowiem ze wstrętu do pracy rodzi się literat i kosmiczne lenistwo jest rodzicem literatury.

Czy wiecie że...

...w Stanach Zjednoczonych ginie rocznie 12 tysięcy ludzi, zamordowanych przez bandytów. Równocześnie notuje statystyka przeciętnie 60 do 70 tysięcy napadów rabunkowych, połączonych z rozlewem krwi. Innemi słowy: czteroletnia działalność zbrodniarzy w Ameryce przysparza Stanom Zjednoczonym tyle strat, ile wyniosły straty Stanów podczas wojny światowej.

*

...podczas ślubu Aleksandra Wielkiego z córką pokonanego króla Darjusza, zaproszono na ucztę weselną 9 tysięcy gości i złożono mu moc podarków, z których same tylko złote wieńce szacowano na 15 tysięcy talentów, co czyni około 35 miljonów złotych.

*

...policja egipska przyłapała niedawno, po kilkumiesięcznych poszukiwaniach, króla przemytników El-Hag-Tarbuscha. W pałacu jego znaleziono 600 kilogramów haszyszu, ponad 2 tysiące kg. opium i olbrzymią ilość kokainy.

*

...jeden z inżynierów wynalazł latające-auto, które w najbliższym czasie podejmie swój pierwszy lot próbny. Pojazd ten posiada silnik lotniczy, mocy 200 PS. Pod spodem wbudowany jest motor automobilowy o sile 15 PS. Maszyna ta może pomieścić 6 osób. Długość jej wynosi 7 m. 80 cm., szerokość zaś — przy opuszczonych skrzydłach — zaledwie 1 m. 60 cm.

*

...na 60 miljonów ludności posiadali Niemcy w roku 1926: 730,741 ułomnych fizycznie, 206,230 upośledzonych umysłowo, oraz około 27 tysięcy głuchych i 41,283 ślepych.

*

...Wynaleziona prze jednego z inżynierów amerykańskich karta automobilowa posiada właściwość automatycznego ustalania miejsca postoju (pobytu) automobilu na mapie.

*

...na „morale" niemieckiego narodu rzuca charakterystyczne światło następująca statystyka kryminalna, obejmująca okres dwuletni. W ciągu tego czasu skazano na śmierć 153 osoby, na więzienie 775,377 osób. Na różne kary i grzywny pieniężne skazano ponad miljon osób.

*

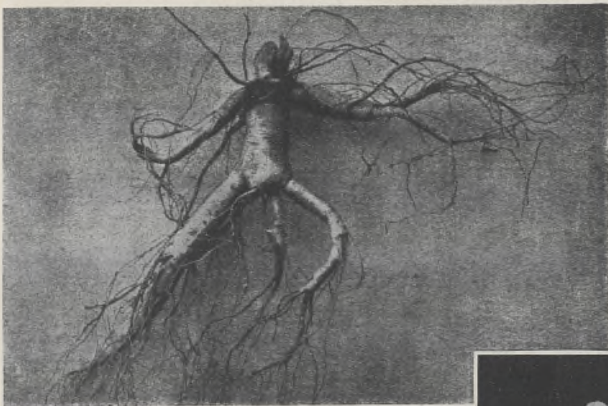
...w roku 1879 pochłaniała maszyna parowa Watta o sile 1000 PS. 4000 kilogramów węgla. W 70 lat później ilość spotrzebowanego węgla spadła do 1,400 kg., w roku 1905 wystarczyło już 1000 kg., a obecnie wystarczy do wykonania tejsamej pracy 500 kg. węgla, czyli 1/8 ilości węgla spotrzebowanego w roku 1870.

*

...dorożka konna ciągnie z każdym gościem 50 kg. własnego ciężaru. Dla motocyklu cyfra ta wynosi 100 kg., dla taksówki 250 kg., pociągu osobowego 415 kg. własnego ciężaru na 1-go pasażera.

*

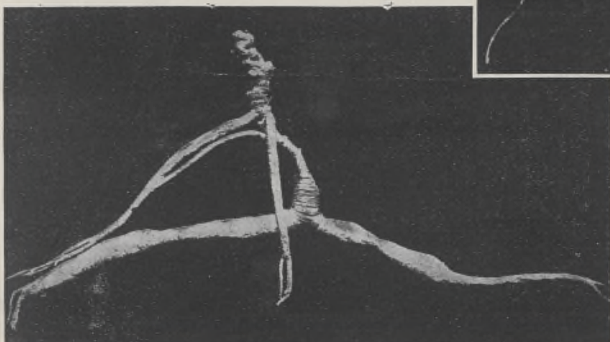
...jedna z amerykańskich firm automobilowych podjęła się wybudowania na własny koszt na przestrzeni 190 km. szosy automobilowej z Budapesztu do Szeyed. Firma ta żąda wzamian jedynie zniesienia cła na jej automobile. Można sobie wyobrazić z jakiemi możliwościami zbytu liczy się dana fabryka, skoro budowa danej szosy będzie kosztowała około 25 miljonów złotych.





Górna część rośliny Mandragora





Mandragora

Mandragora (po polsku pokrzyk) należy do rodziny roślin psiankowych i pochodzi z krajów południowych. Przeważnie rośnie w Mandżurji, skąd została sprowadzona do Europy południowej.

Mandragorze do dziś dnia przypisują znaczenie amuletu. Znany pisarz niemiecki, Evers, osnuł na tem tle głośną swoją powieść „*Alraune*", stwierdzając w ten sposób, że te zabobonne wierzenia w niektórych krajach bynajmniej jeszcze nie zanikły. Mandragora, albo raczej jej korzeń, który, jak widać na naszych fotografjach, łudząco przypomina postać ludzką, znany jest pod nazwą *Jabora Dudaim, Cyrcea* lub *Antropomorphia*. Roślina ta jest dwurodzajowa: rodzaju męskiego (*Morion*) i żeńskiego (*Thridacias*). Rodzaj męski, jak opowiadają, miał być hodowany z zasiania, sprowadzonego z Kanady. Rodzaj żeński natomiast rósł w stanie dzikim w mało dostępnych górach Apulijskich. Powłoka korzenia mandragory miała siłę usypiającą i kojącą ból. Dla zastosowania jej, jako antidotum przeciwko rozlicznym niedomaganiom, gotowano ją i mieszano z winem. Natomiast jako amulet mający chronić przed różą, zapaleniem oczu i wszelkiemi rodzajami wrzodów, noszono korzeń mandragory na szyi. Istnieje podanie, według którego mandragora wyrasta wyłącznie pod szubienicą i musi być zrywana o północy, jeśli stosowanie jej ma się okazać skuteczne. Twierdzą tak przynajmniej znachorzy i „wiedzący" owczarze...

Według innych gadek, przechodzących z pokolenia na pokolenie, zaczarowaną roślinę tą uzyskać można tylko w sposób następujący: do ogona czarnego psa należy przywiązać łodygę rośliny, zalepić sobie uszy woskiem i następnie wabić psa. Pies wyrwie korzeń, lecz korzeń wyda tak przeraźliwy krzyk ze siebie, że pies zdechnie na miejscu. Skutek: szczęście i powodzenie...

Korzeń Mandragory ma pewne podobieństwo z niewielką postacią ludzką: nietrudno jest rozpoznać głowę i tułów, przyczem nogi wykręcone są niezwykle fantastycznie.

Skutek, jakiego po działaniu tej magicznej i cudotwórczej rośliny, najlepiej udowodni nam autentyczny list z roku 1675, zacytowany w książeczce Juljana Tuwima „Tajemnica amuletów i talizmanów":

„Pewien człowiek, któremu bydło wymierające przyczyniło bardzo znaczne straty, otrzymuje od swego brata korzeń Mandragory z listem, zawierającym następujący charakterystyczny ustęp: „.... wobec tego poszedłem do ludzi, którzy go (ów korzeń) posiadali, a mianowicie do naszego mistrza (katowskiego), dałem mu za to 64 talary, a pacholkowi jego grosza srebrnego na piwo. Ofiaruję Ci go w miłości braterskiej i postępuj wedle przepisów, jakie poniżej podaję: Kiedy tego *człowieka ziemnego* będziesz miał już w domu, pozostaw go przez 3 dni w pokoju; potem weź go i wykąp w ciepłej wodzie. Tą wodą pokrop bydło i próg Twego domu, a z pewnością obróci się szczęście, jeśli tylko zawsze pilnie słuchać będziesz tego człowieczka. I cztery razy na rok musisz go kąpać i za każdym razem zawijać w nowe jedwabne suknie i przechowywać razem z najlepszą swoją odzieżą..."

M. S.

Święto przysposobienia wojskowego





W ub. niedzielę rozpoczęło się święto organizacji W. F. i P. W. Święto zostało rozpoczęte uroczystem nabożeństwem na Placu Marszałka Józefa Piłsudskiego, które celebrował przybyły specjalnie z Wilna Jego Ekscelencja ksiądz Biskup Bandurski. Po nabożeństwie Dowódca O. K. Warszawa, gen. Wróblewski przyjął defiladę oddziałów organizacyj P. W. (specjalne zdjęcia A. Sitkowskiego).







Tłumy słuchają przemówienia Ministra Kwiatkowskiego przez gigantofon MARCONIEGO

MÓWCA STOI NA TRYBUNIE, PRZEMAWIA DO TŁUMU, CHOĆBY ZŁOŻONEGO ZE STU TYSIĘCY OSÓB. WSZYSCY GO WIDZĄ, WSZYSCY GO SŁYSZĄ — WSZYSCY, DZIĘKI GIGANTOFONOWI M A R C O N I E G O.

Działacz społeczny lub polityczny na zebraniu publicznem, czy kaznodzieja w świątyni przed tłumem wiernych, czy wódz na placu przed szeregami żołnierzy — wszyscy jednakowo pragną, by każde słowo ich przemówienia doszło do słuchaczy. Czasy się zmieniły. Dawniej, gdy mówca mógł się poszczycić tysiącem chętnych słuchaczy, wystarczyło, by mając przed sobą stosunkowo tak nieliczne audytorjum, był obdarzony silnym organem głosowym. Dziś jednak jest inaczej: na wiecach przedwyborczych, czy na wielkich uroczystościach narodowych lub wojskowych, na odpustach lub pielgrzymkach, na igrzyskach sportowych lub na konkursach światowych gromadzą się nieraz stutysięczne tłumy ludzi, pragnących wziąć udział w uroczystości i doznać jak najwięcej wrażeń.

Praca nad zbudowaniem odpowiedniego aparatu, któryby mógł przenosić głos ludzki bezpośrednio do uszu setek tysięcy osób, nie przeszkadzając jednocześnie przemawiającemu i nie zakrywając osoby jego przed widzami, od wielu dziesiątków lat zaprzątała umysły wynalazców.

Zastosowanie mikrofonu w połączeniu ze wzmacniaczem, opartym na systemie lamp katodowych umożliwiło wreszcie wzmocnienie zwykłego głosu ludzkiego o wiele tysięcy razy, co przy połączeniu z odpowiednio skonstruowanemi tubami dało w wyniku efekt słyszenia na odległość przeszło kilometra.

Przy zastosowaniu kilku tub, objąć można głosem krąg, w którym pomieścić się może przeszło sto tysięcy osób. Zastosowanie tych urządzeń spotykamy niejednokrotnie podczas różnych uroczystości i na imprezach sportowych. Widzimy więc gigantofony podczas uroczystości religijnych na otwartem powietrzu, na wystawach, podczas obchodów narodowych, na rewjach wojskowych, w ogrodach publicznych (Dolina Szwajcarska i Luna Park w Warszawie) na konkursach hippicznych, na zawodach sportowych i t. d.

Gigantofony te budowane są w Polsce przez:

Polskie Zakłady Marconi S. A.

Zarząd i fabryka: Warszawa, Narbutta 29.

Sklepy: Warszawa, Marszałkowska 142,
Łódź, Piotrkowska 84,
Katowice, Dworcowa 16.



Dzielna gwiazda filmowa Betty Balfour z rewolwerem w ręku stawia czoło bandzie opryszków. (Fot. „Petef").

Rewolwer

Krótka, czarna lufa. Mała zabawka, w której czai się śmierć. Jedno lekkie pociśnięcie cyngla — buk — i, jak światło zdmuchniętej świecy, gaśnie życie ludzkie.

Rewolwer...

Niewiele miejsca zajmuje w szufladzie biurka lub nocnego stolika. Ukryta w magazynie drzemie jego sześciostrzałowa dusza, spokojnie czekając na chwilę, w której obudzi ją nieubłagane przeznaczenie. Przetnie wtedy skórę, zgruchoce kości i rozszarpie muskuły. Czyje? Wszystko jej jedno. Te, które staną na drodze jej śmiertelnego lotu.

Rewolwer...

Narzędzie obrony w drżącej dłoni napastowanej ofiary. Mordu — w ręku złoczyńcy. Zemsty — w ręku zdradzonego. Wyzwolenia — w oszalałej dłoni samobójcy.

Kładę dłoń na jego zimnej rękojeści. Lekką pieszczotą palców sunę wzdłuż gwintów lufy.. Staję oko w oko z jej małym okrągłym wylotem.

Czy palec mój szarpnie kiedyś za cyngiel, napięty jak strzała — w łuku kabłąka? A, jeśli tak — to czyja pierś lub skroń stanie na przedłużeniu linji, wykreślonej od szczerbiny do muszki?

Rewolwer ciążyć zaczyna mej dłoni. Same — odruchowo, jak pod dotknięciem ohydnego gada — rozwierają się palce. Z twardym stukiem stalowa maszynka odbija się od podłogi.

Otwieram okno i szerokim oddechem wchłaniam świeże powietrze czerwcowe. Na chodnikach, jeszcze mokrych po niedawnym deszczu, sunie długi i różnobarwny wąż ludzki. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Równolegle ślizgają się opony kół samochodowych. A tam, z za rogu, radośnie zielenieje jasna plama skweru.

Poprzez splątany gąszcz odgłosów ulicy dolatuje mnie beztroskie echo czyjegoś śmiechu.

Życie.

...A tam, obok biurka, połyskuje na podłodze straszna zabawka z wyrytą na lufie nazwą belgijskiego rusznikarza. *(p.)*



Nie gorzej spisuje się (przynajmniej w filmie...) Madge Bellamy, poskramiając rewolwerem brutalnego napastnika. (Fot. „Petef").



„Ręce do góry! Hallo, komisarjat policji? Proszę wysłać kilku agentów. Złowiłem niebezpiecznego włamywacza..." (Fot. „Petef").



Jeszcze chwila, a rozczarowany życiem kandydat na samobójcę padłby na ziemię z przestrzeloną skronią... (Fot. „Petef").

BRUNO WINAWER.

Więc gdzie?

Świat jest coraz mniejszy i kwestję, w którym właściwie punkcie tego globu przykucnąć na sześć tygodni letnich, żeby już raz wreszcie człowiekowi było dobrze — coraz trudniej rozstrzygnąć ku ogólnemu zadowoleniu.

W czasach odległych, zamierzchłych, minionych, w epoce kwadryg, dyliżansów, „sztejnkielerek" nikt sobie nad tem zagadnieniem głowy nie łamał. *Człowiek zależał od konia* i największy potentat, Krezus, Midas, Kaligula zaprzęgał ścigłe rumaki do wozu, siadał i wyjeżdżał do starogreckiego Otwocka, albo do rzymskiego Kaczego Dołu. Dalsze podróże nie miały sensu, bo nikt się przecież nie będzie tłukł na bryce po wybojach przez dwa tygodnie dlatego tylko, że są wakacje i trzeba nareszcie wypocząć.

Dziś — inna sprawa. Wynaleźliśmy motory, pomnożyliśmy szybkość i wytrzymałość najtęższego konia arabskiego przez czterdzieści albo i więcej, major Segrave łyka na gładkiej szosie 300 kilometrów w ciągu godziny, Lindbergh wylatuje z Nowego Jorku i już po dwóch dniach zaręcza się z kimś w Meksyku. Ja sam na własne oczy widziałem w Niemczech niejakiego Chamberlina, który wyfrunął z lotniska amerykańskiego, a już po czterdziestu godzinach spacerował sobie po mokrej łące nad samą granicą polską... I słyszałem o innym pilocie, który z lotniska niemieckiego wyskoczył pewnego dnia nagle, jak rakieta, na wysokość *półtora Everestu*, albo *trzech* Montblanc'ów, postawionych jeden na drugim.

Przed laty „zasięg" — że tak powiem technicznie i naukowo — normalnego warszawiaka równał się temu dystansowi, który mogła odbyć Marysia albo Kasia, siedząca na chłopskiej furze z bagażem. Warszawiak wyjeżdżał do Młocin, do Baniochy, do Piaseczna, do Mrozów. Ludzie odważniejsi zapuszczali się pod Pruszków i Rudę Guzowską. Niektóre watahy waliły aż pod Skierniewice, żywiąc się w drodze kartoflami i zsiadłem mlekiem. Ten i ów śmiały wódz potężnego plemienia zbierał „lary i *piernaty*", sadzał na wozie dzieci, żonę, teścia, teściową, kuzynkę, dwóch partnerów do winta z dziadkiem i szedł na Pabjanice albo na Zgierz. O jego czynach wiekopomnych opowiadano potem legendy i układano o nim poematy wierszem trzynastozgłoskowym. Żył w podaniach i sagach.

Dziś spotykamy w „Ziemiańskiej" skromnego urzędnika państwowego. Gdzie pan ma zamiar spędzić wakacje?

— Wystarałem się o tak zwaną „konwojenturę" — powiada. — Zawadzę o Dakar, Pernambuco. Wpadnę na chwilę do Bahii, zajrzę do Rio de Janeiro, gdzie mnie zaproszono do znajomych na herbatkę poobiednią. Czy skoczę do Montevideo i Buenos Aires — nie wiem jeszcze, ale się namyślę w drodze. Podobno w Patagonji są okolice bardzo ciekawe.

— A żona? — pytam.

— Żona zostaje na półkuli północnej. Nie lubi się ruszać z miejsca. Palestyna, Azja Mniejsza, Kair. Poszwenda się trochę po morzu Czerwonem, wpadnie do kraju Somali, do Addis Abeby, — jak to kobiety. Aby nie zadaleko od domu.

— A dzieci?

— Córkę wysyłam na „camping" na pusztę węgierską. Syn się udaje do Jugosławji... Chociaż ja go namawiam na fjordy, albo na zatokę Biskajską...

Nasz *zasięg* teraźniejszy, promień naszej „sfery działania" urósł tak raptownie i gwałtownie, że człowiek siedzi nad wielką mapą, rozkłada encyklopedję podręczną Lama, studjuje Baedeckera i siwieje z dnia na dzień wśród ksiąg i podręczników geograficznych. Więc gdzie się osiedlić wreszcie?

Przed okiem wyobraźni suną lodowce i skwarne piachy, szturmują spienione fale o skaliste brzegi Bretanji, Adrjatyk się wdzięczy. Migają gaje oliwne i zorze północne, błękitne groty i gwarne miasta, nieduże wyspy i większe lądy, półnadzy Włosi i zaszyci w skórę Eskimosi.

Jedni mówią: panie szanowny, niech mi pan wierzy, latem — tylko kraje *gorące*, Hiszpanja, Sycylja, morze Egejskie. Słoneczko, ciepło, przyjemnie. Nie chce pan tak daleko — wal pan do Dalmacji, ten mróz z pana wyjdzie, ten szron, co w kościach siedzi...

Inni chwytają rozmówcę za guzik i krzyczą: Wilhelm II to był typ podejrzany, ale pod jednym względem miał słuszność — latem tylko Norwegja! kraj wikingów, fjordy, zatoczki, poszarpane skały.

Ci wołają: morze! plaża! Tamci mówią: góry! srebrne szczyty!

Jedni dowodzą: tylko nie koleją, panie! Stary samowar Stephensona się przeżył, smoli, kopci, bokami robi! Okrętem, panie, albo niech pan jacht sobie zafunduje... Inni radzą: dosyć tych głupstw, samolot, łaskawco! Ptaszęta mają rację, tylko w powietrzu trzeba bujać. Jedyny sposób lokomocji — szybko, przyjemnie, — niech pan sobie sprawi awjonetkę!

I co człowiek ma robić? Człowiek oblicza kapitały, zabiera z sobą legitymację prasową i udaje się do kina, gdzie nabywa bilet ulgowy...

Widzi Sahary, Barcelony, pampasy, kraje polarne, Kochinchiny, oliwki, archipelagi, piramidy, turbany, zawoje, kożuchy, sanie, renifery, samoloty... Nie męczy się, nie łazi po urzędach paszportowych. Wzdycha i wraca do domu. Już kilka razy tak spędzałem wakacje.



...a jednak wszystko jedno „gdzie", byle z głową opartą na kolanach kobiety umiłowanej... (Fot. „Fox").

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI.

Zbawca

JERZY
KRYSTYNA
MĄŻ.

Gabinet w kawalerskiem mieszkaniu Jerzego. Urządzenie bogate i wytworne. Wieczór. Okno zasłonięte roletami. Jaskrawy żyrandol. Jerzy siedzi w fotelu, zniecierpliwiony wyczekiwaniem. Po chwili trzy krótkie dzwonki. Jerzy wybiega do przedpokoju i wprowadza Krystynę.

KRYSTYNA *(zatrzymując się w progu)*. — Oh, proszę zgasić ten żyrandol i zapalić lampę.
JERZY. — Moja najdroższa, jedyna *(chce ją pocałować)*.
KRYSTYNA *(odwracając głowę)*. — Nie.
JERZY. — Dlaczego?
KRYSTYNA. — Bo nie.
JERZY. — Jakaż ty jesteś zdenerwowana.
KRYSTYNA. — Żałuję, że nie mam dziecka.
JERZY. — Z mężem?
KRYSTYNA. — Tak.
JERZY. — No, wiesz...
KRYSTYNA. — Może by mnie to ustrzegło od szaleństw.
JERZY. — Dziękuję ci *(przez chwilę chodzi nachmurzony po pokoju)*.
KRYSTYNA *(pokornie)*. — Nie gniewaj się.
JERZY *(siada na kanapie)*. — Chodź.
KRYSTYNA. — Nie.
JERZY. — Ależ chodź. Jak posiedzimy tak przy sobie to się uspokoisz. W tobie wyraźnie nerwy latają.



KRYSTYNA *(zbliża się i siada mu na kolanach)*. — Ja wolę tak.
JERZY. — Gdybyśmy tydzień mogli spędzić razem byłabyś zupełnie spokojna.
KRYSTYNA *(wzruszając ramionami)*. — Tydzień?! Jedną noc.
JERZY. — Moja dziecineczko najdroższa.
KRYSTYNA. — Dziś jesteś dobry.
JERZY. — Dziś.
KRYSTYNA. — O, ostatnim razem byłeś dla mnie bardzo niedobry. Opryskliwy. Przypomnij sobie.
JERZY. — Przepraszam cię. Nie panowałem nad nerwami. Ale mnie tak drażni nasza sytuacja. Ja nienawidzę wszelkich zdrad.
KRYSTYNA. — A myślisz, że ja nie. Boże wielki, gdyby mi kto był przed rokiem powiedział, że ja sama... Nawet nie zastanawiałabym się nad możliwością *(po chwili, obejmując Jerzego za szyję)*. A teraz wiem, że już żyć bez tego nie potrafię.
JERZY. — I chcesz, żebyśmy się tak męczyli.
KRYSTYNA. — Skoro już takie przeznaczenie.
JERZY. — Nie. Przeznaczenie jest zupełnie inne, tylko trzeba mu dopomóc. Inaczej wiem, jaki będzie koniec i to bardzo szybki.
KRYSTYNA. — No?
JERZY. — Że oboje sobie obrzydniemy.
KRYSTYNA *(odwraca się od niego gwałtownie)*. — Zdaje się, że przedewszystkiem ja tobie.
JERZY. — To wszystko jedno.
KRYSTYNA. — Jak dla kogo.
JERZY. — Dla naszej miłości.
KRYSTYNA. — Może to już początek i tak dyplomatycznie mnie opuszczasz.
JERZY. — Nie. Ja mówię szczerze i trzeźwo. Nie możemy żyć w ciągłem kłamstwie. Zabraknie nam sił i nad wszystkiemi uczuciami zagóruje zniechęcenie i rozgoryczenie.
KRYSTYNA *(zasłania mu usta ręką)*. — Cicho.
JERZY. — A jednak takie rzeczy trzeba sobie uświadomić.
KRYSTYNA. — Kiedyindziej. Spotykamy się przecież w cukierniach na mieście, wtedy możemy sobie uświadamiać. A teraz jestem u ciebie i przez pół godziny chcę zapomnieć o wszystkich przykrościach. Wolę mówić, jak cię kocham.
JERZY. — Jak?
KRYSTYNA. — Szalenie. Tylko ciebie jednego. A ty mówisz, że sobie obrzydniemy, napewno sam w to nie wierzysz. Tak powiedziałeś, żeby mnie zmartwić. Powiedz naprawdę teraz, wierzysz, czy nie wierzysz.
JERZY. — Nie, nie wierzę.
KRYSTYNA. — Widzisz. Ja przy tobie jestem taka szczęśliwa. Wystarczy mi, jak się mogę tak do ciebie przytulić i siedzieć, zapominam o wszystkich zmartwieniach, troskach... Niewiem, czy masz takie uczucie, jakby się pokręcone nerwy powoli rozprostowywały. *(Jerzy potakuje głową z uśmiechem)*. I wiesz? Ja teraz doświadczam takiego uczucia.
JERZY. — I wrócisz do męża.
KRYSTYNA. — Wiesz dobrze, że nie żyję z mężem.
JERZY. — Żyjesz, bo mieszkacie razem, bo macie mnóstwo drobnych, wspólnych zainteresowań, które was łączą, bo on każdej chwili może wejść do twego pokoju, nie zwracając na to uwagi, czy jesteś ubrana czy nie, bo musisz się z nim liczyć, bo i teraz jak wrócisz do domu może się zacząć dopytywać gdzie byłaś.
KRYSTYNA. — Nigdy mnie się nie pyta.
JERZY. — Ale może. Tak czy nie?
KRYSTYNA. — Może. Dawniej się pytał.
JERZY — No więc, gdyby mu przyszła teraz taka fantazja musiałabyś się wykłamywać, a ja nie chcę, żeby kochana przezemnie kobieta kłamała przed jakimś panem, który może być sobie najbardziej godnym szacunku człowiekiem, tylko dla mnie nie powinien istnieć.
KRYSTYNA. — No, mój drogi, nie gniewaj się. Nie przypuszczasz chyba, żeby dla mnie to podwójne życie było roskoszne. Może mnie jeszcze bardziej drażni, boli i upokarza, niż ciebie. Ale ty nie znasz mojego męża.
JERZY. *(zniecierpliwiony)*. — Nie róbże z niego jakiejś demonicznej postaci.
KRYSTYNA. — On cię może zabić. Ty nie wiesz, jak on jest do mnie przywiązany.
JERZY. — Ee... Wyobrażasz sobie Bóg wie co, a to najzwyczajniejsza życiowa sprawa. Poawanturuje się i uspokoi. Taka byłaś zawsze wystraszona i zdenerwowana, ile razy zapowiadałem, że muszę się już ostatecznie z twoim mężem rozmówić, prosiłaś mnie, żebym to odłożył, że chcesz się sama z nim rozmówić pierwsza i ja ustępowałem. To był wielki błąd z mojej strony. W ten sposób nie wybrnęlibyśmy z naszej fałszywej sytuacji nigdy. Więc teraz ja już sprawę wezmę w swoje ręce. Dziś się z nim rozmówię. A ty nie wrócisz do domu, tylko zamieszkasz w pensjonacie. Znam doskonały pensjonat. W tej chwili zatelefonuję o pokój *(sięga po książkę telefoniczną)*.
KRYSTYNA *(przytrzymuje mu rękę w chwili, gdy chciał podnosić słuchawkę)*. — Poczekaj sekundę.
JERZY. — Na co?
KRYSTYNA. — Już jest wieczór. Mój mąż ma dziś posiedzenie, nie zastaniesz go w domu. Wróci dopiero koło północy.
JERZY. — Pojadę koło północy.
KRYSTYNA. — Jurku!
JERZY. — Co?
KRYSTYNA. — Nie dzisiaj... Jutro... No, ja cię proszę, błagam, zaklinam, jeśli mnie kochasz... Jutro...
JERZY. — Ale dlaczego?
KRYSTYNA. — Ja się tak boję. I w żadnym razie nie pozwolę ci prowadzić tej rozmowy samemu. Ja chcę być przy tobie.
JERZY. — Dobrze. Więc pojadę po twojego męża i przywiozę go tutaj.
KRYSTYNA. — Kiedy?
JERZY. — Zaraz.
KRYSTYNA. — Nie, to niemożliwe.
JERZY. — Przekonasz się, że możliwe.
KRYSTYNA. — Przecież już to samo, że mój mąż zastałby mnie tutaj, doprowadziłoby go do najstraszniejszej furji.
(dzwonek telefonu).
JERZY *(podnosi do ucha słuchawkę, na twarzy maluje mu się nagle wyraz najwyższego zdumienia, po chwili zimno:)* — Proszę pana *(zwraca się do Krystyny)* Wiesz kto to dzwonił?
KRYSTYNA. — Kto?
JERZY. — Twój mąż.
KRYSTYNA. — Mój mąż?
JERZY. — Bardzo się cieszę.
KRYSTYNA. — Z czego?
JERZY. — Bo już się stało. On wie, że tu jesteś i w tej chwili tu przyjdzie.
KRYSTYNA. — Boże wielki!
JERZY. — Teraz musisz wybierać. On albo ja.
KRYSTYNA. — Tak mówisz, jakbym ja się mogła choć chwilę wahać. Boże, Boże, co to będzie.
JERZY. — Nie bój się, ciebie najmniejsza przykrość nie spotka. Na to nie pozwolę. A zresztą może najlepiej zrobisz, gdy pójdziesz. Wypuszczę cię tylnem wejściem. My tu się sami rozmówimy. Za godzinę zatelefonuj do mnie.
KRYSTYNA. — Nie. Ja ciebie samego nie zostawię.
JERZY. — Kryśka! *(obejmuje ją i całuje)* — Dziecko, co tobie jest? Cała się trzęsiesz?
KRYSTYNA. — Ja się tak boję, ja się tak boję *(dzwonek)*.
JERZY. — Idź do tamtego pokoju.
KRYSTYNA. — Nie otwieraj mu.
JERZY. — Jakżeż mu mogę teraz nie otworzyć.
KRYSTYNA. — Jest tylne wejście. Uciekajmy razem.
JERZY. — Idź do tamtego pokoju.
KRYSTYNA. — Boże... Boże...
Po wyjściu Krystyny, Jerzy idzie do przedpokoju, otwiera drzwi i szybko się cofa. Mąż wchodzi spokojnie, rozbiera się powoli. Jerzy ruchem ręki prosi go do pokoju. Chwila milczenia.
JERZY. — Czem panu mogę służyć?
MĄŻ. — Chyba już niczem więcej, bo czem mógł mi się pan przysłużyć, tem mi się pan przysłużył. Czy moja żona wyszła?
JERZY. — Nie.
MĄŻ. — Można ją widzieć? Może nieubrana?



JERZY. — Zechce pan mówić innym tonem.
MĄŻ. — A cóż pana w moim tonie razi? Mówię jaknajnaturalniej. Wiem przecież, że moja żona nie po to do pana przychodzi, żeby odprawiać rekolekcje. Więc mogłem ją zastać nieubraną.
JERZY. — Jeszcze raz pana proszę, żeby pan zmienił ton.
MĄŻ. — Ja coprawda mało pana znałem dotychczas, ale przypuszczałem, że pan ma bardziej nowoczesny sposób myślenia. Kiedy zapytywałem pana przez telefon, czy moja żona jest tutaj i pan mi odpowiedział „tak", bardzo mi się to podobało. Sądziłem, że w takim samym spokojnym tonie poprowadzimy całą rozmowę. Jednakże jak tylko wszedłem, odrazu z pańskiego wyglądu i całego zachowania zauważyłem, że pan jest nastrojony na romantyczny ton. W przedpokoju stanął pan w obronnej pozycji i najwidoczniej czekał pan, że zrobię taki gest *(sięga do tylnej kieszeni od spodni, równocześnie Jerzy cofa się krok wtył z tym samym gestem)*. — No, widzi pan, ja pokazałem, jak się sięga po rewolwer, a pan już sięga. Tylko ja rewolweru nie mam. Papierośnicę *(pokazuje papierośnicę)*. Niech się pan uspokoi, albo rozczaruje, jeśli pan jest zwolennikiem patosu w konfliktach życiowych. Nie posiadam przy sobie żadnej broni, ani palnej, ani siecznej. Zaraz *(przetrząsa kieszenie)*. Jedyny ostry przedmiot, jaki mam, to maszynka do obcinania cygar. Odkładam, bo mi w tej chwili przyszło na myśl, że i to mogłoby posłużyć za narzędzie do wyrafinowanej tortury. Widzi pan, jestem najzupełniej bezbronny.

JERZY. — I cóż dalej.

MĄŻ. — Co dalej? A no zaraz. Rozumiem, że to moje niespodziewane przyjście wprawiło pana w romantyczny nastrój. Bardzo łatwo podlegamy, zwłaszcza w chwilach emocji, pewnym uświęconym przez tradycję nałogom myślenia. Nie po to zdradzony mąż dowiaduje się o miejscu schadzki żony z kochankiem, żeby się dopytywać, gdy ich przyłapie, czy przyjemnie czas spędzają. Więc był pan w porządku. Ale nie pojmuję, dlaczego w stosunku do mnie trzyma się pan od czterech miesięcy metod, którebym nazwał również romantycznemi. Zebrałem o panu dokładne informacje i wiem, że jest pan przyzwoitym człowiekiem, nawet bardzo przyzwoitym — powtarzam już to zawsze z naciskiem na bardzo. Więc nie mogą tu wchodzić w grę uboczne, spekulacyjne względy, np. chęć wyzyskiwania męża w ten czy inny sposób za pośrednictwem żony. W takim razie jednak, pocóż pan obrał tę przestarzałą formę wiarołomstwa? To jest banalne, niesmaczne i niepotrzebne. Posiadało może rację bytu wtedy, gdy mąż mógł żonę zabić, wsadzić do ciemnicy, albo do klasztoru. Ale dziś? Przeżytek. I przyznam się panu, że jest to dla mnie w pańskim charakterze sprzeczność, której nie umiem sobie wytłumaczyć. Dlaczegóż nie przyszedł pan do mnie, czy nie zawezwał mnie do siebie i nie powiedział wyraźnie, że kocha pan moją żonę i że nawiązał pan z nią romans? Wtedy oddałbym jej sprawę do rozstrzygnięcia. A ponieważ znam moją żonę i wiem, że nie nawiązywałaby z panem romansu, gdyby pana nie kochała, więc rozstrzygnęłaby sprawę na pańską korzyść.

JERZY. — Ja dziś właśnie miałem zamiar zgłosić się do pana.

MĄŻ. — Ale pozwolił mi się pan uprzedzić.

KRYSTYNA *(wchodzi pospiesznie do pokoju)*. — To ja wszystkiemu jestem winna.

MĄŻ *(zrywa się z krzesła)*. — Dobry wieczór. *(Krystyna zdziwiona cofa się w tył i nie podaje mu ręki)*. — Czy pan nie wie, dlaczego moja żona nie chce mi podać ręki. Chyba ja wobec niej nie zawiniłem.

KRYSTYNA. — Nie jestem już pańską żoną.

MĄŻ. — Tembardziej możemy przestrzegać form towarzyskich. Ale ja nie nalegam.

KRYSTYNA. — Jerzy dawno chciał się z panem rozmówić. Odrazu... od pierwszej chwili... I ja go powstrzymywałam.

MĄŻ. — Obawiała się pani mojego brutalstwa. Jak pani mnie nie zna... Musi pani przyznać, że dla pani starałem się zawsze być jaknajdelikatniejszy, prawda? *(Krystyna w milczeniu potakuje głową)*. Więc jakżeż pani mogła przypuszczać, że usiłowałbym brutalstwem stłumić w pani miłość i przytrzymać przy sobie. Mógłbym panią doprowadzić do samobójstwa, tylkobym pani nie odzyskał. Niema większego szaleństwa, niż chcieć odzyskiwać kobietę, która odchodzi. Wątpię, czy to się komukolwiek kiedy udało. A ponieważ jestem człowiekiem cywilizowanym, więc nigdy w życiu nie kierowałem się uczuciami. Może trywialnie, ale trafnie określa przysłowie: „Pies kości nie zje, a drugiemu nie da". Oczywiście używam tego porównania z wszelkiemi zastrzeżeniami.

KRYSTYNA — Naprawdę, nie znałam pana. Ale to najlepszy dowód, że powinniśmy się rozejść.

MĄŻ. — Nie proszę pani, nie potrzeba psychologicznych dowodów wobec faktu, że panią tutaj zastałem. Zresztą i teraz pani mnie fałszywie sądzi. Gdzieś tam, w głębi duszy, tli się u pani podejrzenie, że mój spokój jest udany i, że bądź co bądź kryje się za nim trochę goryczy, albo przynajmniej urazy. Nie. Ja już jestem w stosunku do pani człowiekiem najzupełniej obojętnym, do tego stopnia obojętnym, że mogę żyć w przyjaźni z państwem.

JERZY. — Bardzo nam będzie przyjemnie.

MĄŻ. — Doskonale. Przynajmniej raz tego rodzaju konflikt załatwia się nie po barbarzyńsku. I muszę państwu przyznać, że to moja zasługa.

JERZY. — Doprawdy, pan jest niezwykłym człowiekiem.

MĄŻ. — Dlaczego? Tak, jak ja, powinien postępować każdy naprawdę kulturalny człowiek. Niestety, większość naszych bliźnich zadawalnia się bardzo powierzchownemi pozorami kultury.

JERZY. — Bardzo.

MĄŻ. — Bądźmyż pionierami bardziej ludzkich obyczajów. Ale pani nie postanowiła nic jeszcze w sprawie przeprowadzki. Czy mam się przenieść do hotelu?

KRYSTYNA. — Nie, nie, nie... Ja zaraz pojadę i spakuję swoje rzeczy w ciągu godziny.

MĄŻ. — Pan zapewne zechce towarzyszyć narzeczonej?

KRYSTYNA. — Nie, nie... nie... Ja sama pojadę *(do męża)* Pan nie wraca zaraz do domu.

MĄŻ. — Mam bardzo ważne posiedzenie. I tak się dwie godziny spóźniłem. Więc życzę państwu wszystkiego najlepszego.

JERZY. — Dziękuję.

KRYSTYNA. — Dziękuję.

MĄŻ. — Czy w tych dniach mógłbym się z panem zobaczyć. Żebyśmy z godzinę mogli porozmawiać. Uprzedzam, że rozmowa nie będzie dotyczyła naszych spraw osobisto-uczuciowych.

KRYSTYNA *(niespokojnie)*: — Te sprawy chyba już zakończone.

MĄŻ. — Najzupełniej i ostatecznie. Chodzi mi o co innego. *(Do Jerzego)* Z powodu pani Krystyny zacząłem się panem interesować i wniknąłem w pańskie życie głębiej, niż pan może przypuszczać. Proszę mi tej niedyskrecji nie mieć za złe, sądzę, że ją usprawiedliwiają wyjątkowe okoliczności, jakie nas do siebie zbliżyły. Muszę też panu odrazu powiedzieć, że rezultat tej zabawy w detektywa był dla pana bardzo pomyślny. Nietylko ogromnie mi się pan podobał, to już jest rzecz subjektywna, ale nabrałem dla pana prawdziwego szacunku. Pan jest człowiekiem, z którym można pracować.

JERZY. — O, napewno.

MĄŻ. — Nasuwa mi się kilka interesów, moim zdaniem świetnych, ale sam nie chcę ich robić. Poprostu nie mam czasu. Czy nie zechciałby pan zostać moim wspólnikiem?

JERZY. — Pańskim wspólnikiem? Bardzoby mi to pochlebiało, ale ze względu na konflikt, jaki się między nami wytworzył...

MĄŻ. — Między nami już niema najmniejszego konfliktu.

JERZY. — Prawda. Ja się w tej chwili przyłapałem na barbarzyńskich uczuciach. Dobrze.

MĄŻ. — W takim razie za kilka dni zatelefonuję. A teraz pożegnam państwa. Dowidzenia. *(Całuje Krystynę w rękę. Jerzy wyprowadza go do przedpokoju i podaje mu palto)*. — O, najmocniej przepraszam. Ma pan bardzo miłe mieszkanie. Dowidzenia *(wychodzi)*.

Jerzy wraca do pokoju i przez chwilę oboje z Krystyną patrzą na siebie w milczeniu.

JERZY. — I cóż ty na to?

KRYSTYNA. — Wiesz, że to mnie się w głowie nie może pomieścić. Jednak niezwykły człowiek.

JERZY. — Może go zaczynasz żałować?

KRYSTYNA. — A niech go djabli wezmą, ze wszystkiemi jego cnotami.

W koło Macieju...

Gdyby nagle wstał z grobu Hrysyppus, jeden z mądrzejszych stoików greckich, z politowaniem spojrzałby na najrozmaitsze kąciki i rozrywki umysłowe, zapełniające łamy poczytnych czasopism całego świata, jak również z pogardą odwróciłby się plecami od tysięcznych rzeszy szaradzistów, oraz „łamigłówków", łamiących sobie główki nad rozwiązywaniem najtrudniejszych krzyżówek. Bowiem mąż ów szanowny, napisał sześć olbrzymich tomów, których treścią była próba logicznego rozwiązania jednego powiedzonka, nieopatrznie wygłoszonego przez starożytne indywiduum, niejakiego Epimenidesa.

Epimenides, rodem z wyspy Krety, stanął pewnego pięknego poranku na rynku i rzucił zgromadzonemu tłumowi swoich rodaków owo pamiętne zdanie: „Wszyscy Kreteńczycy kłamią!" Hrysyppus, zamieszany przypadkowo w tłum ciekawych słuchaczy, wziął to na serjo i powróciwszy do domu zaczął analizować usłyszaną charakterystykę tubylców.

Było nad czem myśleć. Jeżeli bowem wszyscy Kreteńczycy kłamali, a sam Epimenides wywodził swój ród z Krety, wobec tego był również urodzonym łgarzem i jego powiedzenie należało rozumieć odwrotnie, że Kreteńczycy słyną z cnoty prawdomówności. Ale jeżeli Kreteńczycy mówią prawdę, to w takim razie Epimenides nie skłamał, mówiąc o ich zawodowem łgarstwie. Dobrze! Ale przecież on sam jest Kreteńczykiem, więc wygłaszając swe historyczne słowa skłamał i rodacy jego są świecznikami prawdy i t. d. i t. d. Wyobraźmy sobie teraz biednego Hrysyppusa, który cały swój pracowicie przemyślany żywot strawił na tego rodzaju rozumowaniu, przyczem umierając nie był jeszcze pewny, czy Epimenides zełgał czy też powiedział prawdę!..

Zdarzył się również kiedyś ciekawy wypadek, którego ślady pozostały w zakurzonych aktach sądowych starogreckiej sprawiedliwości. Istniał mianowicie zwyczaj, że uczniowie, którzy studjowali u Sofistów tajemnice kunsztu prowadzenia procesów sądowych, wpłacali połowę należnego honorarjum przed nauką, resztę zaś po wygraniu swojego pierwszego procesu. Był to bowiem dowód, że nauka nie poszła w las i że uczeń potrafi wykręcić się z najtrudniejszej sytuacji.

Jednak z takich uczniów po ukończeniu nauki postanowił nie płacić swemu mistrzowi reszty należnego honorarjum, przyczem naumyślnie nie występował w żadnym procesie. Zirytowany nauczyciel oskarżył swego niewdzięcznego ucznia, który tylko na to czekał, ażeby dowieść, że nie zmarnował lat swoich studjów i że potrafi lepiej od swego nauczyciela sprawę zagmatwać. Oświadczył więc co następuje: „Jest to mój pierwszy proces. O ile go przegram, nie jestem ci nic dłużny; jeżeli natomiast wygram, sędzia mnie uwolni od winy, wobec czego również ci nic nie zapłacę". Na takie dictum, nauczyciel, który nie dał się zapędzić w kozi róg, odpowiedział: „O ile wygrasz proces, to będziesz musiał w myśl umowy zapłacić mi honorarjum, jeżeli zaś przegrasz, to sędzia skarze cię na zapłacenie". Sprawa jednak jest trudna do rozwiązania. Przegranie procesu przez ucznia uwalnia go od zapłacenia honorarjum, w myśl umowy. Jednocześnie uczeń, przegrywając proces, wygrywa go, ponieważ postawił na swojem, wobec czego winien uiścić się z zapłaty.



Błędne koło, o którem można napisać nie sześć, ale sześćset sześćdziesiąt sześć książek...

Inny znów przykład, ilustrujący sytuację bez wyjścia, zdarzył się w pięknej okolicy nad Nilem. Pewna murzynka siedziała nad rzeką. Jej mały synek igrał sobie beztrosko, stawiając babki z piasku. Nagle wynurzył się z wody olbrzymi krokodyl i porwał smarkacza z zamiarem schrupania go na poczekaniu. Matka zaczęła prosić łakomego płaza o zwrócenie jej dziecka w stanie nienaruszonym, na co smakosz odpowiedział jej:

— Oddam ci dziecko pod warunkiem, że trafnie odpowiesz mi na moje pytanie. Czy oddam ci twoje dziecko?

— Nie — odparła matka po namyśle.

— Zgoda — rzekł krokodyl — wobec tego zjem je. Albo twoja odpowiedź była złą, wobec czego nie dotrzymałaś warunków umowy, albo powiedziałaś prawdę i dziecko należy do mnie.

— Z drugiej jednak strony — obroniła się matka — jeżeli powiedziałam prawdę, dziecko winno mi zostać zwrócone, — jeżeli natomiast omyliłam się, to również dziecka zjeść ci nie wolno.

Kto miał z nich rację? Odpowiedź potwierdzająca, lub też przecząca, była zawsze dobrą, prawdziwa, lub też kłamliwa doprowadzała do tego samego rezultatu, mianowicie do pierwotnego zapytania.

Oto parę kwiatków z łąki myślowej starożytności. Czemże są wobec nich nasze dzisiejsze, najtrudniejsze rebusy i krzyżówki!

(g).

Kobieta z papierosem w ustach

(patrz artykuł na str. 14-ej).



PIĘKNA SPRZEDAWCZYNI PAPIEROSÓW (Wallace Beery i Raymond Hatton, Photo Paramount)





PAPIEROS JAKO DESER PO OBIEDZIE (Evelyn Brent i William Powell, photo Paramount)



PAPIEROS JAKO ŚRODEK NA NUDY (Olaf Fjord i Charlotte Suza z filmu „Eroticon", fot. Petef)



PAPIEROS NARZECZONYCH (u góry) i PORANNY PAPIEROS PIĘKNEJ PANI (u dołu), Betty Compson i Georg Baneroft, (photo Paramount).



PAPIEROS ZA KULISAMI (Dolly Sisters, Wide World)

Kobieta z papierosem w ustach

W roku 1899 zdarzył się w londyńskim hotelu Savoy wypadek niezwykle sensacyjny i znamienny w skutkach. Lady Fitzgerald, która w owym czasie wodziła rej w tamecznem arystokratycznem towarzystwie, zaaranżowała w salach bankietowych wspomnianego hotelu wielki „wieczór estetyczny". Zebrał się kwiat i śmietanka high-lif'u, spodziewano się nawet przybycia królowej. Na tym to bankiecie żona posła jednej z południowo-amerykańskich republik, ku wielkiemu zdziwieniu zebranych, wyjęła z kunsztownej papierośnicy swoje ulubione *zigarillo* i zapaliła je z całkowitą bezceremonjalnością, a nawet pewną nonszalancją. Chwilowa konsternacja zamieniła się wnet w powszechne oburzenie; atoli do skandalu nie doszło, gdyż ekstrawagancję pani posłowej kładziono na karb jej egzotyczności.

Tym znamiennym i odważnym czynem (jakkolwiek bohaterce nie przysporzył podówczas laurów), palenie tytoniu przez kobiety zostało raz na zawsze usankcjonowane.

Pozornie niewinny ten nałóg, zpoczątku uprawiany był przez kobiety jedynie tylko w „czterech ścianach", z pewnem, rzecby można, zażenowaniem, tak, że niejednokrotnie damy, a zwłaszcza ekscentryczne Amerykanki, które odważały się na publiczne palenie papierosów, narażane bywały na bardzo przykre konsekwencje.

Dziś, gdy wspominamy te wypadki „odważnych wyczynów kobiecych na polu emancypacji, oraz gdy pragniemy pojąć stosunek ówczesnego społeczeństwa do kobiet palących papierosy, ogarnia nas dziwnie wesołe uczucie. Jakże śmieszne wydawać się nam muszą ówczesne pojęcia, w obliczu dzisiejszej orjentacji. Dziś, gdy chłopczyca dosłownie po męsku ostrzyżona, z całą swobodą ukazuje się w miejscu publicznem z monoklem w oku, kobieta paląca papierosy nikogo już nie dziwi, gdyż na tym polu płeć piękna poszła już nieco dalej. Oswajamy się już nawet z faktem, że kobieta pali również fajkę. Znana z tego jest żona byłego posła niemieckiego w Londynie, księżna Mechtilda Lichnowsky. Przyswojenie sobie nałogu palenia przez kobiety doszło również do tego, że przed kilku miesiącami odbył się w Paryżu turniej, na którym pewna dama odniosła zwycięstwo, zużywszy w stosunkowo krótkim czasie całą skrzynkę papierosów.

O ile z jednej strony, spora część kobiet palących oddaje się temu nałogowi jedynie tylko dla kokieterji, to z drugiej jednak strony są kobiety, które palą bez należytego umiaru i z niezwykłą pasją. Powszechnie znaną jest rzeczą, że dobrze wychowany mężczyzna nigdy nie pali papierosów na ulicy. To jest zwyczaj przyjęty na całym świecie. I ten to zwyczaj obcy jest kobiecie, która wpadnie w nałóg; potrafi ona — takie wypadki dają się, niestety, coraz częściej zauważyć — nawet na przystankach tramwajowych.

Pewien wybitny lekarz, w wywiadzie udzielonym jednemu z pism stołecznych powiada, między innymi:

„Mężczyzna, nawet nałogowiec, zaciągnie się nie więcej jak kilka razy podczas palenia jednego papierosa. Najczęściej przytem markuje. Kobieta zaciąga się za każdym razem, wdychając jaknajgłębiej, aż po djafragmę, zabójczy dym. On, jedząc słodycze, nigdy nie zapali papierosa — ona będzie jednocześnie piła mleko, paliła papierosa i jadła czekoladę. Palacza cechuje tak czy owak umiar w paleniu, palaczkę—anarchja. Najzawziętszy nałogowiec potrafi w pewnym momencie zapanować, bądź przezwyciężyć pragnienie. Palaczka na taki wysiłek woli najczęściej już się nie zdobędzie. Podanego papierosa przyjmie od każdego. Z tego com rzekł, wynika, że mężczyzna, trzymając się pewnych zasad w paleniu, mniej absorbuje swe zdrowie niż kobieta, która pali chaotycznie i po dyletancku. Trudna to sprawa, walka z tym nałogiem wśród kobiet. Należy jednak ochronić je od przesady, nauczyć poprostu, jak powinny palić papierosy, jeżeli już tak daleko zaszło, że bez nich nie mogą się obejść".

Są dowcipnisie, którzy szukają analogji między całkiem sobie różnemi zjawiskami, i którzy w swoim zapędzie potrafią nawet znajdywać wspólne cechy między objektami i subjektami, znajdują je w kobiecie i tytoniu.

Powiadają, że jak w tytoniu, tak i wśród kobiet znaleźć można całą gamę różnych wspólnych wewnętrznych i zewnętrznych cech: kolor, począwszy od najdelikatniejszego blond, aż do czerni; gorycz, w mniejszym lub większym stopniu; siła odurzania i przykre następstwa...

W różnych odmianach zewnętrznych tytoniu, znajdują oni również pewne analogje do kobiet. I tak papieros, lekki i zgrabny w swoich kształtach, do którego mężczyzna nabiera fascynującego przywiązania, jest jakby miłą jego przyjaciółką, która ma na niego nieprzymusowy wpływ, dając mu zarazem dużo zadowolenia.

Natomiast cygaro, które już wymaga pewnego zachodu, zajęcia się niem, jest jakby...

Zostawmy dalsze wywody. Komuś sprawiłyby one przykrość. Może tym, którzy w paleniu papierosów, chcą widzieć jeszcze jeden dowód emancypacji kobiet. Dowód to zaiste mierny i przemawia raczej na niekorzyść, niż na dobro współczesnej kobiety.

Miecz. S-ny.

M. B. LEPECKI.

Argument pięści

Szedłem właśnie do kwatery porucznika Pablo de Rivadavia, gdy uszu moich dobiegły odgłosy jakiegoś zgiełku i krzyku. Nie znoszę, aby w moim pobliżu działo się coś niezrozumiałego dla mnie. Zawsze dam się skusić myśli, że zagadce trzeba spojrzeć w oczy. Również i teraz skierowałem swe kroki w stronę, skąd doszedł mnie podejrzany hałas. Wprawdzie dzisiaj nie żałuję tego postępku, jednak, przyznaję, uczyniłbym lepiej, nie zbaczając wówczas z drogi. Ale cóż, stało się. Scena, jaką ujrzałem dzięki swoim „zasadom" nie należała do widowisk w Paragwaju rzadkich, niemniej jednak zrobiła na mnie bardzo nieprzyjemne wrażenie. Bądź co bądź, widok człowieka, choćby nawet o bronzowym kolorze skóry, bitego po głowie i plecach grubym prętem bambusowym, nie może wywoływać refleksyj wesołych. A takiej właśnie operacji dokonywała na czerwonoskórym obdartusie gromada białych gauczosów. Umyśl nie napisałem: „białych", gdyż ci śniadzi mieszkańcy stepów paragwajskich niebardzo zasługiwali na nazwę białych. Jakby nie było, — cywilizowani bili dzikiego. Muszę dla ścisłości zaznaczyć, że zarówno jedni, jak i drudzy zachowywali się z godnością i powściągliwością, cechującą w równej mierze czerwonoskórych autochtonów amerykańskich, jak i ich białych panów. Wprawdzie znacznie łatwiej zachować godność i powściągliwość tym co bili, aniżeli bitemu, niemniej jednak Indjanin poddawał się bolesnej operacji z rzadko spotykanym u ludów europejskich stolicyzmem. Na jego twarzy nie dostrzegłem ani jednego skurczu, z jego ust nie wydarł się ani jeden okrzyk trwogi. Stał ze spuszczonemi bezwładnie wzdłuż ciała rękami i cierpliwie znosił dotkliwe razy swoich białych „braci". A ci, należy przyznać, bili go metodycznie. Nie za wolno i nie za prędko. W sam raz. Nawet natężenie uderzeń regulowali, mitygując się wzajemnie, gdy ktoś bardziej krewki dawał unosić się temperamentowi. Prawdopodobnie nie chcieli zabić go zbyt prędko. Bo to i przyjemność byłaby i męka Indjanina mniejsza.



Dziecko, jak dziecko... (ze zbiorów autora)

Znęcanie się nad bezbronnym bliźnim, a do tego jeszcze przedstawicielem rasy indyjskiej, którą przyzwyczaiłem się od lat młodzieńczych kochać, oburzyło mnie.

— Hallo, compadre — zawołałem do grubego Paragwajczyka, kierującego tą swoistą egzekucją — co wam ten biedny, indyjski golas zawinił, że go tak bijecie.

Biały spojrzał na mnie zpodełba i mruknął krótko, a wyziście:

— Idź do stu tysięcy rudych małp i kosmatych djabłów!

Nie lubię obrażać się, ale takiego lekceważenia nie mogłem puścić płazem. Zresztą, zemściłoby się to na mnie w ciągu dalszych stosunków z mieszkańcami tego miłego kraju. Spotkałbym się niewątpliwie z pogardą. Musiałem przeto reagować, nie bacząc na to, że stoję sam wobec całej zgrai tubylców. Upewniwszy się tedy, czy rewolwer spoczywa na swojem miejscu, rzuciłem w stronę dryblasa, jako wyzwanie, pewne znane powszechnie trzy słowa — nastraszliwsze przekleństwo, jakie język hiszpański w Nowym Świecie zna.

Paragwajczyk poczerwieniałby napewno, gdyby na jego spalonej wichrami stepowemi twarzy mogło pojawić się coś w rodzaju rumieńca.

— Ach, ty gringo... — zdołał tylko z siebie wykrztusić i skoczył ku mnie.

Rozumiałem doskonale co to miało oznaczać. W Paragwaju ludzie nie odwykli jeszcze od naturalnych odruchów i załatwiania porachunków osobistych — osobiście. To też, gdy mój „rozmówca" znalazł się dostatecznie blisko, gruchnąłem go bez żadnych komentarzy, pięścią w perkaty, paskudny nos i uskoczyłem na stronę.

Paragwajczyk zachwiał się, ryknął coś gromko i... siadł na ziemi. Snać jednak opamiętał się rychło, gdyż zerwał się na równe nogi i począł wołać:

— Amigos mios, dajcie mi rewolwer, dajcie mi natychmiast rewolwer, abym mógł tego cudzoziemca zastrzelić na miejscu.

Jednak „amigos" nie kwapili się zbytnio ku niemu, lecz, przeciwnie, odsuwali się dość wyraźnie. Porażka rodaka musiała, w każdym razie, urazić ich narodową dumę, gdyż coraz gwałtowniej poczęli pokrzykiwać. Tylko dzięki temu, że była to gromada ludzi nieuzbrojonych i że argument pięści, zaaplikowany wypadł dla mnie dość chwalebnie, nie padłem wówczas ofiarą swego nierozważnego kroku. Nie wiem jednak, jakby się cała ta awantura skończyła, bo już podnosiło się wokoło mnie dziesiątki potężnych łap, gdyby nie nagłe zjawienie się porucznika Pablo de Rivadavia. Ten sympatyczny oficer sławnej, ale, niestety, bosej armji paragwajskiej, zlikwidował całe zajście równie rychło, jak i prostodusznie. Poprostu kopnął w pośladek zmaltretowanego już nieco przezemnie Paragwajczyka, a jego towarzyszom powiedział coś tak dosadniego, że zniknęli mu z przed oczu, no i lufy rewolweru, tak rychło i niepostrzeżenie, że nie sprawiliby ujmy nawet duchom, wywoływanym przez miłej pamięci naszego rodaka, imć pana Guzika.

— Chodźmy stąd — rzekł porucznik Rivadavia i wziął mnie pod rękę.

— Chodźmy — zgodziłem się chętnie, zdenerwowany tym nieco niepotrzebnym zajściem.

Z zamieszania skorzystał jedynie Indjanin który, nie czekając na rezultat zatargu, drapnął w pobliskie zarośla, a później skrył się zapewn w wysokich trawach i umknął do swoich rodaków.

W godzinę później opuściłem małe miasteczko paragwajskie, aby już nigdy do niego nie wrócić. I nawet nie zdążyłem dowiedzieć się napewno dlaczego gromada ludzi białych biła jednego człowieka czerwonego. Kto wie, może słuszność mieli członkowie mojej rasy...

Modne kapelusze



Modne kapelusze w sezonie bieżącym nie podlegają żadnym obowiązującym przepisom. Zbyt dotkliwie dały się te niezmienne prawa mody odczuć przed dwoma laty, kiedy wszystkie eleganckie panie bez wyjątku musiały mieć na głowach odwrócone dnem do góry doniczki. A i ostatnio, tyranja obcisłej kalotki dała się nam niemało we znaki. Ileż pań wydało swe puszyste, bujne sploty na pastwę nożyc fryzjerskich, li tylko dla tego, że nie miały gdzie ich podziać pod obciągającym głowę jak rękawiczka kapeluszem. Nareszcie wszechwładna tyranka Moda zechciała być zgodnie z duchem czasu, monarchinią konstytucyjną — przynajmniej w zakresie kapeluszy.

Maluchny turbanik z przetykanego złotą nicią, jedwabnego trykotu i cienista pasterka z florenckiej słomy — spacerują sobie pod rękę w przykładnej zgodzie. Ściśle rzecz biorąc, to spacerują pod rękę właścicielki tych kapeluszy, turban i pasterka nie mają ani rąk ani nóg, nie mogłyby więc spacerować i jeszcze „pod rękę", ale nie bądźmy znów zbyt pedantyczni. Filc i słoma bynajmniej nie usiłują się wzajemnie detronizować jak egzotyczni władcy afgańscy, lecz dają się harmonijnie łączyć na jednym kapeluszu. Czasem filcowa główka ma słomkowe rondo, czasem znów filcowe rondo przylega do główki ze słomy. Czasem znów słoma (egzotyczna) i filc (francuski) łączą się ukośnie, zygzakowato, futurystycznie, przez środek główki i na jednym boku ronda. Jak fantazja, to fantazja! Modne są słomki lekkie, ażurowe, przejrzyste, tworzące dookoła twarzy powabną aureolę. Ze słomkowej koronki robi się inkrustacje w gładkiej słomie lub filcu.

Kapelusz mocno nasunięty na twarz, zakrywający brwi, nieraz i część oka, stanowczo należy już do przeszłości. Ostatnie modele kapeluszy, jak podniesione rycerskie przyłbice odsłaniają prawie całe czoło, a na niem pukiel włosów lub grzywkę. Zato nasunięte na twarz boczne pukle włosów nie są już tak obowiązujące. Można je skasować lub ukryć pod kapeluszem. Do włosów odrastających, noszonych w postaci spadających na szyję loków, robi się specjalne typy kapeluszy, lekko podcięte z tyłu, tak aby puszysta grzywa loków wydobywała się bez szwanku na zewnątrz. Przy rondach z tyłu długich, opierających się niemal o plecy, włosy muszą być krótko ucięte, lub umiejętnie schowane — w każdym razie niewidzialne.

Odwieczny konflikt między fryzjerem a modystką zdaje się wciąż obostrzać. Zasada dobierania kapelusza do koloru sukni lub jej przybrania utrzymuje się w całej rozciągłości. Dlatego też widzimy najwięcej kapeluszy czarnych i granatowych, gdyż są to faworyty wśród modnych barw sezonu. Widzi się również dużo koloru beige, choć jest to odcień mało efektowny, zwłaszcza na kapelusz. Bajecznie „do twarzy" robi słoneczny kolor „tilleul". Kapelusze pąsowe ślicznie harmonizują nietylko z pąsową sukienką i płaszczykiem, lecz i z jasno-migdałowym trench-coat'em, z kostjumem granatowym i marengo i z letnią, sportową sukienką z kremowej czesuczy lub jedwabnego płótna. Zresztą sportowy styl ubrania nie wymaga koniecznie kapelusza. Wystarczy zwykły beret basque lub czapeczka „Borutka" z jedwabnego trykotu w szerokie pasy. Mają one nawet swój szczególny sportowy cachet, no i są lekkie, nie grzeją głowy.

Na dalekie wycieczki samochodowe nic nie jest w stanie zastąpić klasycznego hełmu automobilistów, dobrze chroniącego uszy i szyję zaopatrzonego w okulary lub wizjerę. Lżejsze i milsze latem od ciężkich hełmów skórzanych, są „kominiarki" z jasnego płótna, doskonale dobrane de burberry's i trenchcoatów, tworząc idealny, letni, sportowy rynsztunek antykurzowy.

Well

To, co najważniejsze

Na czwartkowej herbatce u państwa Hajlajfskich (ostatniej przed wyjazdem pięknej pani domu do Ostendy) żywo omawiano aktualną sprawę wywczasów letnich i niezbędnych w tym kierunku przygotowań.

— Kufry mamy już spakowane — z westchnieniem ulgi zwierzała się pani Kota — wizy w porządku, miejsca w sleepingu zamówione...

— A czy nie zapomniałaś o tem, co najważniejsze? — rzuciła filuternie ciemnowłosa panna Lonia, chrupiąc jakiś smaczny makaronik.

— To jest o czem? — spytała naiwnie pani Kota.

— Jakto?! Wybierasz się na podbój słynnej plaży ostendzkiej, a nie wiesz, co jest najważniejsze dla każdej z Warszawianek w przededniu wyjazdu na ferje letnie?...

— Może urządzimy głosowanie? — wtrącił pan Zdzisław, arbiter elegantiarum i utalentowany feljetonista stołeczny.

— Brawo, brawo! — zgodziła się panna Lonia — Zarządzam powszechne, równe, bezpośrednie i tajne głosownie na temat *„tego, co najważniejsze dla pięknej pani"*. Forma odpowiedzi — czterowiersz!

Rozdano karteczki i ołówki — i po kilkunastu minutach siedem wierszyków znalazło się w niecierpliwych łapkach panny Loni.

— Uwaga! rozpoczynam — zaanonsowała Lonia, rozwijając pierwszą kartkę i odczytując głośno wierszyk następujący:

STROJE EWY.

Ewa, ubrana już w figowy listek,
Poznawszy tajnie Dobrego i Złego,
Rzekła do męża: Aby strój był wszystek
Spraw pantofelki mi u Leszczyńskiego!

— Brawo! Ktoś jest jednego ze mną zdania! Ale zobaczmy, co głosi ten wysmukły gotyk, zdradzający dłoń kobiecą:

W PAŃSTWIE NIEBIESKIEM.

W Chinach — maleńkie stopki, piękne pantofelki
Są cenione najbardziej i mir mają wielki —
Gdyby w Państwie Niebieskiem żył nasz mistrz Leszczyński,
Mandarynem mianowałby go władca chiński!

— Niezły wierszyk, nieprawdaż? A ten, to chyba pana Zdzisława. Poznaję po kropkach nad „i"...

ŚLADEM PIĘKNYCH NÓŻEK...

Nawet mizantrop twarz swoją rozjaśni,
Gdy w trotuaru patrząc się tafelki
Ujrzy na stopkach piękne, jakby z baśni
L. Leszczyńskiego arcy-pantofelki!

— Bałamut! Ale przebaczamy, bo ostatni wiersz wskazuje na nielada znawstwo! Co? Znów wierszyk o Leszczyńskim?

ŻYWE BRYLANTY STÓPEK...

Brylant wymaga kunsztownej oprawy,
Choć jest kamieniem — nie kamień to młyński...
Tak samo stópek najpiękniejsze zjawy
Oprawiać może tylko mistrz Leszczyński!

— I ten także?!

NIEPEWNOŚĆ.

Kiedy do stóp twych, pani, schylam lica,
Pytam się serca, z miłości drżącego:
Czy twoja stópka więcej mnie zachwyca,
Czy pantofelek mistrza Leszczyńskiego?

— Jeszcze dwa — i obydwa zakończone tym samym wnioskiem! Słuchajcie:

DROGA SZCZĘŚCIA.

Bogowie pięknej królewny — Kopciuszka
Nietylko w bajce pilnują i strzegą —
Bo drogą szczęścia kroczy każda nóżka,
Gdy w pantofelku jest od Leszczyńskiego!

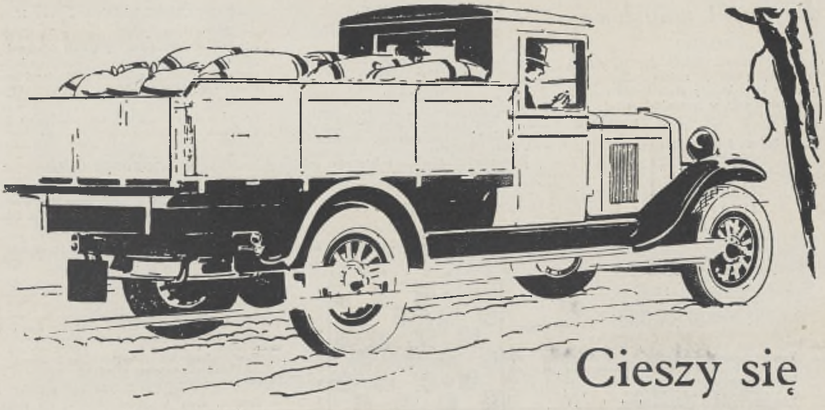
TROCHĘ ASTRONOMJI.

Choć nie śledzi na niebie gwiazd srebrzystej jazdy,
Leszczyński — to astronom, nawet bardzo wielki,
Bo się schodzą u niego teatralne gwiazdy
Wybierać najpiękniejsze w Polsce pantofelki!

— Nie! to kapitalne! — entuzjazmowała się panna Lonia — po raz pierwszy w życiu spotykam się z podobną jednomyślnością! Ogłaszam wynik głosowania: pięć wytwornych warszawianek i dwaj wytworni panowie, zebrani w salonach państwa Hajlafskich, jednomyślnie orzekli, że najważniejszem, o czem nie powinna zapomnieć piękna pani, wybierająca się na wywczasy letnie, jest — para prześlicznych pantofelków od mistrza Lucjana Leszczyńskiego, Nowy Świat 34!

— I na „P. W. K."! — dodał pan Zdzisław, zawsze dobrze o wszystkiem poinformowany...

Mimo.



Rozrywki umysłowe

SZARADA.

Nie marszcz *pierwszych* wtedy, kiedy ujrzysz *drugi*,
O, bo on pogodę lub... jej zmianę wróży;
Więc gniew bezpodstawny niech będzie niedługi,
Jak przystanek *cały*, w przygodnej podróży.

Józef Wł. Flisiński.

Zadanie konikowe literowe.

w	Z	o	d	k
j	ż	ę	t	w
w	a	y	r	e
w	a	i	ą	s

ZAGADKA.

ułożył Józef Wł. Flisiński.

Znacie mnie panowie, panie?
Z Radwanów się rodzę.
...Żem zdobył w świecie uznanie?
Bo w jedwabiach chodzę...
W mieście Padwa, gdzie przebywam,
Choć na końcu prawie —
Tam to swobody używam,
Nie tak, jak w Warszawie.
Wprawdzie nie znam samochodów,
Lecz... jeżdżę rydwanem...
Zdwajam pracę, a z dochodów
Możnym jestem panem.
Jednak ślę źrenicę łzawą,
W pełni smutku, żalu,
K'tobie kochana Warszawo!
Z myślą o Podwalu.
Znają ludzie mnie z odwagi —
Śród każdej krainy,
A rodowód swój bez blagi —
Wiodę... z podwaliny,
Mogę za to lat dwanaście,
Siedzieć na odwachu...
Kim więc jestem? proszę — wskażcie —
Z jednego rozmachu!

NAGRODY

Za rozwiązanie trafne szarady, zagadki i zadania konikowego przeznaczamy pięć nagród oraz cztery dodatkowe, razem dziewięć nagród książkowych do rozlosowania.

Rozwiązania nadsyłać należy do redakcji „7 dni" z napisem „Dział rozrywek umysłowych" do dn. 26 czerwca b. r.

SZACHY

J. J. Rietveld, Kesteren.

Tijdschrift van den Nederlandschen Schaakbond.



Mat w 2 posunięciach.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z N-ru 17.

Wydzwanianie godziny 6-ej, posiadającej 5 interwali międzyuderzeniowych trwa 6 sekund — przeto jedenastej, posiadającej podwójną ich ilość trwać będzie dwa razy dłużej t. j. 12 sekund (rozw. Mieczysława Fedorowskiego). Prawie wszyscy Czytelnicy zrozumieli słusznie, że chodzi o czas pomiędzy pierwszem a ostatniem uderzeniem, jako granicami.

NAGRODY OTRZYMUJĄ:

Pp. Guta Temkinówna, Kalisz, ul. Szopena 15, S. Sochelson i Mieczysław Fedorowski z Warszawy; Bogusław Dobrowolski z Bydgoszczy, ul. Gdańska 54, Helena Kraśniewska z Warszawy.

Rozwiązania i nagrody za Nr. 19 zamieścimy w następnym Nrze.

ROZWIĄZANIE REBUSA Z N-ru 18.

„Do Ra straż niesie najada"
(Najada (syrena) niesie straż do Ra (boga egipskiego)

czyli

„Dora strasznie się najada".

Trafnego rozwiązania nikt nie nadesłał. P. Zygmunt Tietz, Warszawa, Okólnik 11a rozwiązał jak następuje: „Płyną do ra na syrenie straże". Aczkolwiek błędne, rozwiązanie znamionuje wytrawnego rebusistę. Wobec tego jedna z nagród książkowych zostaje przyznana p. Tietzowi. Pozostałe nagrody za rozwiązanie zadań z niniejszego N-ru.



Blondynkę czy brunetkę

każdą kobietę szpecą włosy i puszek na twarzy, karku, nogach i pod pachami. Czy i Pani ma kłopot z ich usunięciem?

Jest to bardzo łatwe, jeżeli Pani zastosuje odpowiedni środek, a mianowicie krem do usuwania włosów „Dulmin". Jest on biały, jak krem do pielęgnowania skóry, i prawie zupełnie pozbawiony zapachu. Należy nim posmarować skórę, kilka minut zaczekać i potem zmyć — włosy znikną bez śladu.

DR. M. ALBERSHEIM
FRANKFURT N.M. - LONDYN - GDAŃSK
wytwórca wszechświatowej sławy
wyrobów „Khasana"

Jeżeli Pani weźmie raz na próbę małą tubę „Dulminu" nie będzie już Pani używała innych środków, ponieważ przewyższa on je w skuteczności działania, nieszkodliwości i łagodności.



Żądajcie zawsze kremu „Dulmin" i nie dajcie się skłonić do nabycia innego mniej wypróbowanego środka.

DULMIN najdoskonalszy krem do usuwania włosów

U.S. ROYAL CORD



OPONY ROYAL CORD
STOJĄ ZAWSZE NA CZELE NAJLEPSZYCH OPON ŚWIATA.

Dziś one są jeszcze lepsze, niż dawniej... Przystosowane do najnowszych wymagań techniki automobilowej... zapewniają największe bezpieczeństwo jazdy... trwałość... — szybkość... — oszczędność...

United States Rubber Company

Wyłączne przedstawicielstwo na Polskę i w. m. Gdańsk:
„OPONA" Sp. z o. o.
Warszawa, Mazowiecka 11.
Telefon 135-84

NAD U.S. ROYAL CORD
NIEMA DZIŚ LEPSZEJ OPONY

Przyjdź osobiście



albo nadeślij charakter pisma swój lub zainteresowanej osoby. Zakomunikuj imię, rok i miesiąc urodzenia, kawaler, żonaty, wdowiec, ilość osób najbliższej rodziny a otrzymasz szczegółową analizę charakteru, określenie zalet, wad, zdolności i przeznaczenia. Odpowiedzi na szczerze zadane pytania, jak również horoskop słynnego medjum, M'lle Evigny — bezinteresownie. Lecz na pokrycie kosztów ogłoszeń, wydatków pocztowych i kancelaryjnych dołączyć zł. 2.— (można w znaczkach pocztowych). Osobiście przyjmuję 12 — 7. Protokuły, odezwy, podziękowania najwybitniejszych osób stolicy do sprawdzenia — *Warszawa, Psycho-grafolog, Szyller-Szkolnik, Redakcja „Świt" Nowowiejska 32 m. 6.*

Wągry
najskuteczniej usuwa płyn
Vesta



Siwiznę
usuwa farba do włosów
Juvenol

ŻYCIE PŁCIOWE!



10 cennych i pożytecznych książek tylko za zł. 5.—1 Dr. Müller: „Najnowszy lekarz domowy". 2] Dr. Braun „Samogwałt u mężczyzn i kobiet", 3] Dr. Gelsen „Hygjena miodowych miesięcy", 4] Dr. Surbled: „Sekretne sposoby małżeńskie", 5] Dr. Korabiewicz: „Choroby weneryczne" i 5 innych ciekawych i pożytecznych książek tylko za zł. 5.—. Wysyłamy za gotówkę lub za zaliczką pocztową na wydatki załączyć zł. 1.50 (można w znaczkach pocztowych). — Warszawa, Red. „Świt", Nowowiejska 32, m. 6.

TRUSKAWIEC
WILLA „ZULEJKA"

pod zarządem p. Marji Stadlerowej z KRAKOWA, poleca pokoje wygodnie, czysto i z komfortem urządzone, po cenach umiarkowanych. Specjalna wykwintna kuchnia, na życzenie dietyczna. Zwracamy wielką uwagę na dobór towarzystwa, aby kuracjuszom naszym zapewnić miłe w wytwornem otoczeniu spędzenie wakacji. Sezon już się rozpoczął, zgłoszenia i zamówienia na nieliczne wolne jeszcze miejsca przyjmuje:
Zarząd Willi „ZULEJKA" p. Marja STADLEROWA, TRUSKAWIEC.



Wydawnictwo „7 DNI" ogłaszając w druku poniższą, najnowszą i specjalnie dla nas napisaną powieść utalentowanego pisarza, p. Stanisława Strumph-Wojtkiewicza, pozostawia P. T. Czytelnikom znalezienie do niej najodpowiedniejszego tytułu i w tym celu ogłasza odpowiedni konkurs z nagrodą 1000 zł. W skład sądu konkursowego wchodzą pp.: Juljan Eysmond, Juljusz German, Wacław Grubiński, Marjan Hemar, Tadeusz Kończyc, Jan Piotrowski, oraz autor tej powieści.

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW

Hala Liwska ukończyła pensję. Wypadkowe spotkanie i początek flirtu z Arturem Zaliwskim, otwierają przed nią nowe horyzonty. Nić romansu nawiązana. Wtem, niespodziewanie, oświadcza się o Halę stary p. Woyna. Tego samego dnia — nowa „bomba" wybucha, bo oto kuzynek Staś, złapawszy Zaliwskiego, na gorącym uczynku pocałowania Hali, zdradza zachowaniem swem, że i on kocha dziewczynę, co jej zresztą nazajutrz wyznaje. Kochała je... Papcio nalega, by Hala przyjęła propozycję Woyny. Hala coraz częściej przebywa w towarzystwie koleżanki Aliny, śmiałej i nowoczesnej panny. Młode panny odwiedzają dawną koleżankę Molińską, która prosto z pensji wyszła w świat... w półświatek. Po zerwaniu z Zaliwskim rozpoczyna flirt z nowym, młodym człowiekiem, aż wreszcie, zapoznawszy się z kłopotami finansowemi Zaliwskiego, pożycza od ojca większą kwotę pieniędzy, by móc go uratować. Zaliwski odnosi część pożyczonych pieniędzy. Znów powtarzają się dziwne konkury do Hali, w których jednak mowy niema o... miłości. Wiedziona instynktem Hala postanawia wyjechać i udaje się na wieś, do koleżanki Zośki, gdzie pierwszego już wieczora spotyka Reńskiego. Po kilku dniach pobytu, otrzymuje list z domu, pod wpływem którego postanawia wrócić na jeden dzień do Warszawy. Reński ofiarowuje jej swój samochód, w którym oboje wyruszają w podróż. W Warszawie rodzice robią Hali wymówki z powodu flirtu z Zaliwskim, a papcio dowiedziawszy się o konkurach Reńskiego oświadcza, że nigdy nie zgodzi się na to małżeństwo. Hala postanawia uciec z Czerniczek do domu. Niezatelegrafowawszy po konie Hala zwraca się do znajomego technika z pobliskiej gorzelni o pomoc. Ten korzystając z wieczora i padającego deszczu zamyka Halę na klucz w swoim pokoju i postanawia ją zdobyć. Hali udaje się wydostać z tarapatów. Ucieka pieszo do Czerniczek, gdzie po tych przejściach choruje. Zwierza się Zośce, która ją ostrzega przed Reńskim. Otrzymuje telegram wzywający ją do Warszawy. Na dworcu dowiaduje się, że Zaliwski został aresztowany i że musi go ratować. Natychmiast udaje się do urzędu śledczego, gdzie spotyka się z Zaliwskim. Ten daje jej cały szereg poleceń do regulowania spraw finansowych, które natychmiast załatwia. Spotyka się z Reńskim, z którym jedzie na obiad do Konstancina.

(20)

Chodzą alejami, uliczkami, ścieżkami. Dzieci znoszą fijołki, któremi wkrótce pachnie cała Hala — tyle ma bukiecików w rączkach, przy płaszczyku, w torebce. Jest pachnące świeżą zielenią popołudnie i jest niziutka ławeczka pod bladozielonemi akacjami. Przed Halą klęka Reński i śmieje się, że klęka tylko przed fijołkami — a potem obejmuje Halę i mówi w różowe uszko, że tuli do siebie tylko fijołki. Niezapomniany uścisk, który rozpoczął się w limuzynie, w drodze z Czerniczek do Warszawy, trwa teraz dalej — i Hala nie uwierzyłaby nikomu takiemu, ktoby mówił — że teraz jest już Konstancin, ławeczka, fijołki i akacje.

— Wierzę — panu — panie Alu — mówi Hala, a najdelikatniejsze struneczki nerwów śpiewają jej kołyszące, omdlewające rytmy.

Wszystko się zmienia potem błyskawicznie. Reński ma pomysł. Hurra! Pan Ala ma cudowny pomysł: dziś — właśnie teraz — jest dancing u Molińskiej — pojadą tam! Tak — pomysł cudowny... U Molińskiej? no więc cóż, że u Molińskiej — pan Ala ma istotnie cudowny pomysł — bo jego pomysły nie mogą nie być cudowne.

— Zaraz — niech pożegnam moje fijołki.

Fijołki są dumne, fijołkom przewraca się w żółtych główkach, fijołki zakochane są same w sobie do prawdziwego szaleństwa. Hala — również Hala kocha siebie — nie pana Alę — kocha w tej chwili siebie całą niewiarogodną mocą — a to dlatego, że jest taka śliczna na tej ławeczce, że klęczy przed nią pan Ala, że żadna bohaterka w żadnym filmie nie grała tak porywająco, jak gra teraz przechylona na bok główka Hali i jej białe palce, oplatające ramiona pana Ali:

— Czas już.

— Tru-tu-uu-tu-u-uu — woła syrena i wstaje olbrzymia ściana kurzu między nimi a ławeczką konstancińską. Pan Ala jest skupiony teraz, ścigając się z kolejką. Hala trafia bukiecikiem fijołków w sam nos czarnemu maszyniście, który śmieje się i powoli zostaje w tyle ze swymi dudniącymi wagonikami. Teraz Hala zaczyna zazdrościć samochodowi, którym pan Ala jest tak zajęty, że pozwala na siebie patrzeć tylko z profilu. A Hala rozbawiła się i rozkaprysiła się dziś: jest małą królewną, której się chce wszystkiego i niczego, to tego, to tamtego, to żeby pan Ala pocałował ją w mały paluszek — to znów, żeby na nią nie patrzył i poszedł sobie z samochodu — bo jest brzydki.

Wreszcie są na miejscu. Hala z całą naturalnością tańczy wśród różowych i jasnozielonych sukienek i wita się ze Schreiberem: — Ha, — ha — ha — co pan ma taką zdziwioną minę — czy jestem inna — proszę ze mną tańczyć.

Molińska jest czarująca. Reński musi na chwilę opuścić zebranie. Wszyscy patrzą na nich, a on tłomaczy Hali, że wróci prędko, tylko dowie się, jak sprawa z Zaliwskim. Molińska zajmuje się Halą najserdeczniej. Goście wychodzą, goście przychodzą — Molińska prosi do kolacji, bo tymczasem zdążono przetańczyć i przeflirtować wszystkie przedwieczorne godziny. Hala czuje się, jak w gościnie u młodej pobłażliwej cioteczki. Aliny na szczęście, nie ma tu dziś. Wogóle szczęście Hali sprzyja — cóż za nadzwyczajny dziś dzień — a raczej nadzwyczajny wieczór...

Bo właśnie wrócił Reński i usiadł przy Hali na wolnem krześle, na którem Hala nie pozwoliła usiąść nikomu z tych obcych, ale bardzo miłych panów.

— Telefonowałem — Zaliwskiego jutro wypuszcza — wszystko załatwione.

— Dziękuję — mówi Hala — dziękuję.

Szeptem dodaje: — mój kochany.

Cóż za śmiałość!

Reński zrywa się i wznosi „toast fijołków". Wszyscy wiedzą, że mówi tak pięknie i płomiennie o Hali. Wszyscy są piękni i młodzi — u Molińskiej bywają tylko piękni i młodzi — i rozumieją się doskonale. Wszyscy piją zdrowie fijołków. Fijołkom znów zaczyna kręcić się w główce — ale na szczęście inne kwiatki wstają. Kolacja zakończona, ale wieczór trwa. Wszystkie pokoje domu są pełne dyskretnych melodyj, tu i owdzie sunie para, spleciona w tańcu; tam znów wiruje maleńka zabaweczka — ruletka. Hala rzuca na szachownicę bukiecik fijołków — ktoś go wygrywa i pan Ala, pół żartem, pół serjo płaci zań grubym banknotem — i fijołki umieszcza w klapie.

Chodzą pod ramię, jakby byli samotni w tych zaludnionych, ale zacisznych salonach i oglądają obrazy. Molińska zbliża się i przypomina — że najbardziej podobała się Hali w całym domu — rzecz jedna, rzecz pewna. Reński jest ciekaw — Molińska ze śmiechem przynosi zielono - złoty pierścień — „pierścień miłości i śmierci". — Kupiłem go już od pani — mówi Reński i wkłada pierścioneczek na paluszek Hali. Gdy zdziwiona, mimo bezwładu w oszołomionych myślach, protestuje — Reński nachyla się.

— Jesteśmy zaręczeni.

Staje się nagle strasznie wesoło. Wszyscy tańczą i Hala z innymi. Coraz prędzej — zawrotniej.

Draperje wirują, taca z szampanem to nadpływa, to oddala się — Hala pije wielki, narzeczeński kielich — i sama sobie nie wierzy, czy za chwilę nie zniknie ten sen. Potem rzeczywiście znika wszystko — główka opada na ramię i Hala mówi z trudem:

— Tak mi jakoś dziwnie — panie Alu — gdzie pan jest.

Pana Ali niema, Halę otacza jakaś czuła niewieścia troska. Przypomina to dziecinne zasypianie, jeszcze na rękach niani — gdy się jest niesioną do łóżeczka. Hala już jest zapewne u siebie w domu, w Morelówce, gdyż poznaje cykanie starego zegara, który miał później wpaść w ręce bolszewików. Zręczne niewieście ręce usuwają wszystko, coby mogło Hali przeszkadzać w odpoczynku. — Jeszcze pończoszki — mówi senna, mała Halineczka. Jedyna realna sprawa — to poduszka, szumiąca nieprzerwalny śpiew, wśród wielkich podróży, odbywanych przez główkę Hali. Gasną gwiazdy i księżyc — poduszka płynie, niczem obłok w coraz ciemniejszą, w coraz bardziej ponurą noc.

I staje się sen — Hala wie napewno, że to jest sen. Przedtem — kiedyś — dawniej — myślała, że to straszna rzeczywistość — a to — na szczęście — jest tylko okropny sen. Wali się na Halę śmieszny, obrzydliwy pan Pozwolęsobie w Niechcicach. Mogą stać się znów straszne rzeczy— ale tym razem napewno tylko we śnie, — choć właściwie nie warto — tylko dziwi się, że jest taka bezwładna i słaba. Z powodu tej słabości sen staje się jeszcze straszniejszy i Hala odczuwa przejmujący, wielki ból, który rozpościera się na niej i rozrzuca ją całą, bezradną, sennie przerażoną, nieprzytomnie płaczącą. — Papciu — papciu — panie Alu — panie Alu — ja nie chcę — panie Alu— niech pan mnie ratuje.

— Jestem, maleńka, jestem droga Halineczko przy tobie.

Jest to cudowny zbawczy szept pana Ali. Zmora mija. Straszny sen się skończył — zaczął się sen nieznanych rozkoszy. Hala objęła tę najdroższą, niepojętą rozkosz i tuliła ją tak, jak się tuli cudowne wybawienie i nieznaną siłę.

Była noc. Hala nagle zbudziła się. Zdawało się jej, że ktoś wyszedł z pokoju. Wokoło było czarno.

— Kto tam — spytała.

Ale nikt nie odpowiadał i główka Hali znów opadła na szumiącą poduszkę. — Dziwne — myślała Hala, a nie zdążyła pomyśleć dalej, gdyż poduszka już popłynęła — a Hala wraz z nią.

Ktoś wszedł — i Hala nagle obudziła się. Słońce wdzierało się przez szpary w roletach do dużego nieznanego pokoju.

— Kto tam — spytała znów Hala, przecierając czoło i oczy. Ze zdumieniem zobaczyła Molińską, już ubraną, uśmiechniętą, piękną. Pokojówka wniosła herbatę i ustawiła zastawę przy łóżku Hali. Hala leżała na wznak, nie ruszając się i usiłując zebrać myśli, które wczoraj poprzerzchły się — srebrne i różowe — a dziś wracały czarne, czarne. W rozszerzonych oczach zamiast wierności, znalazła się groza.

— Sen — czy też...

Myśli tej powiedzieć nie można było głośno— ze względu na obojętny uśmiech Molińskiej. Lepiej też było jej nie pytać. Hala uspokoiła się, pijąc herbatę i słysząc od Molińskiej to i owo: że dziś strejk tramwajów, że Molińska wybiera się do krawcowej, że ktoś stłukł wczoraj dwie filiżanki ze starego serwisu do kawy.

— No i tobie, Halu, zakręciło się w głowie i musiałam cię ułożyć tutaj.

Widocznie nic strasznego się nie stało, skoro Molińska może mówić i mówi o drobiazgach. Ale co to — coś przeszkadza na palcu. Pierścionek miłości i śmierci? Zaręczyny — zaręczyny z panem Alą!

Hala czerwieni się.

Molińska udaje, że nie widzi tylko uśmiecha się mądrze.

— No, wychodzę, mała. Pośpisz sobie jeszcze?

Hala kręci głową, że nie pośpi.

— Nie? Łazienka jest tu zaraz, za temi drzwiczkami.

Molińska wyszła.

Hala leżała jeszcze czas jakiś. Niepokój rósł.

— Ach Boże — jaka ja byłam wczoraj — dziwna — przecież byłam zupełnie nieprzytomna—

i leżą teraz w tym pokoju — w którym może i czarna Alina wtedy.

Trzeba było poruszyć się, wstać i spojrzeć prawdzie w straszne, wszystkowidzące, nieubłagane oczy...

— Chyba nie, — chyba nie — to byłoby niegodne — niemożliwe — myślała Hala idąc ociężale słoneczną stroną ulicy. Hali zapewne tylko zdawało się, że wszyscy na nią patrzą zbyt uważnie. Wreszcie doszła do banku, woźny przeprowadził ją koło gwarnych stołów, biurek, maszyn do liczenia.

Przy biurku, w zacisznym gabinecie siedział on. Hala stanęła i patrzyła — musiała patrzeć — jakby w Reńskim chciała znaleść odpowiedź, której nie mogła dać sama sobie.

— Boże — poco ja właściwie tu przyszłam.

Pan Ala zerwał się i witał serdecznie, poczciwie, gorąco. Pytał o zdrowie. Hala milczała i patrzyła dalej. Posadził ją w głębokim fotelu, rozpoczął swoją przemiłą gawędę. Halę uspokoiło to natychmiast.

Nie było nic — nie było — ale w takim razie...???

Patrzyła dalej, jak podpisywał papiery i wydawał dyspozycje telefonicznie; piękny, wytworny, kochany. Potem wrócił do niej.

— Halineczka moja najdroższa — jakaś smutna?

Hala opuściła główkę. Pytał — kiedy ją zobaczy — ach pocóż pyta— przecież może widzieć ją ciągle, kiedy tylko zechce. Ale Reński był nieubłaganie miły. Był taki, jakby naprawdę nic nie wiedział o śnie, który wydarzył się Hali. Mówił pan Ala też, że bardzo się wczoraj niepokoił o zdrowie Halineczki, że *zaraz* wyszedł, że dziś rano telefonował, żeby się *dowiedzieć*.

Hala rozpłakała się w tem miejscu, zupełnie nieoczekiwanie i dla pana Ali i dla siebie samej. Głaskał jej rączki, uspakajał, był dobry — nic więcej. Nie pragnął dziś fijołków i nie pytał o powód płaczu. Jak on może być takim wesołym i spokojnym! To wstrętne!

Hala wyszła i przeczekawszy kilka godzin w cukierence i w parku, pojechała po walizkę do pokoju Zaliwskiego. Blady, wynędzniały Zaliwski wybiegł na jej spotkanie. Był już wolny.

— Widziałem cię z okna — dziękuję, droga moja, żeś przyszła! Dziękuję za wszystko — tu jest jeszcze twoja walizka. Zapomniałaś ją zabrać? już chciałem odesłać.

Byłoby to być może nieszczęście, gdyby walizka przesłana została do domu. Ale Hala stała się obojętna, nieczuła, drewniana. Słuchała z roztargnieniem Zaliwskiego, który odzyskiwał już swój tupet i werwę, ledwie znalazłszy się na wolności.

— A kto dał pieniądze na kaucję? Mój Boże — ile ja ci zawdzięczam.

— Reński — twardo powiedziała Hala.



— Poczciwy jednak! Wyobraź sobie — uważałem go za zimnego, wyrachowanego egoistę — a jednak pomógł! Ruszyło go sumienie! Wiesz — w swoim czasie — kiedy on uciekł z jedną panną zagranicę i pani Reńska chciała się już z tego powodu rozwodzić, wtedy teść przestał dawać Reńskiemu pieniądze i zawiesił go w urzędowaniu... Nie interesuje cię to? więc — jednem słowem — ja formalnie przez miesiąc — zanim się nie pogodzili — utrzymywałem Reńskiego — a drogo ta zabawa kosztowała.

— Zmęczona jestem i głowa boli mnie — mówiła Hala, kryjąc twarz w dłoniach. Chciał ją całować.

— Nie chcę! — szarpnęła się i krzyknęła niemal dziko.

Zaliwski uśmiechnął się po swojemu: krzywo— niepewnie.

Przed wyjściem Hala zapytała:

— Słuchaj, co ty powiedziałeś mojemu ojcu?

— Ano — że cię kocham —i że nic nikomu do tego.

— Nic więcej? nic ostrego?

— Owszem. Ponieważ odrzekł, że mi ciebie nie dadzą, więc powiedziałem, że za ich zgodą czy bez ich zgody — będę cię miał.

— Taki jesteś pewny? Po tem wszystkiem?

Zaliwski zmieszał się.

— Halu — co się z tobą stało? Taka jesteś ostra... Widzisz — to było przedtem przecież. Nie wiedziałem — że to mnie spotka. Ale to tylko nieszczęście, wypadek. Nic — literalnie nic mi nie grozi — może jaka grzywna. — Ja zmienię życie zupełnie.

— A gdybym nie latała do tych różnych żydów?

— Toby też nic wielkiego nie było. Miałem zaniedbaną książkowość — nic więcej — ale będę taki — jak ty zechcesz.

Zatrzymał ją.

— Halu — ja cię ubóstwiam teraz. Pozwól mi mieć nadzieję. Wierz mi — jestem dziś zupełnie inny. Chciałem cię uwieść dawniej — a teraz — teraz wszystko przełamało się we mnie... chcę zasłużyć na twoją miłość, Halu.

Pochylił się i objął i całował jej kolana.

Hala stała nieruchoma i jakby zastygła w rezygnacji.

— Nic mi nie powiesz?

Pogłaskała go po czuprynie: biedny, dobry chłopiec.

— To dobrze, że jestem jeszcze komuś potrzebna.

— Mogę przyjść do was?

— Przyjdź...

— Nie gniewasz się?

— Nie.

(d. c. n.)

SIEDEM DNI NASZEGO CZYTELNIKA

KALENDARZYK TYGODNIOWY

16 N. Aliny.
17 P. Innocentego.
18 W. Marka.
19 Ś. Gerwazego.
20 C. Sylwerjusza.
21 P. Alojzego.
22 S. Paulina.

KALENDARZYK ASTRONOMICZNY

słońce w.	słońce z.	księżyc w.	księżyc z.
3.15	19.58	14.25	1.9
3.15	19.58	15.39	1.20
3.15	19.58	16.54	1.34
3.15	19.59	18.7	1.40
3.15	19.59	19.19	2.10
3.15	19.59	20.25	2.37
3.15	19.59	21.22	3.13

KALENDARZYK HISTORYCZNY

17.VI 1696. — Śmierć króla Jana III Sobieskiego w Wilanowie.

18.VI 1574. — Henryk Walezy opuszcza Polskę.

18.VI 1792. — Bitwa pod Zieleńcami.

19.VI 1205. — Zwycięstwo Polaków pod Zawichostem nad Romanem księciem Ruskim.

20.VI 1815. — Proklamowanie królestwa Kongresowego.

21.VI 1768. — Ogłoszenie Konfederacji barskiej w Krakowie.

KALENDARZYK SPORTOWY

Tabela ligowa przedstawia się następująco: 1) Wisła 9 gier — 13 pkt, st. br. 28 : 19. 2) ŁKS 9 gier — 12 pkt, st. br. 15 : 13. 3) Garbarnia 8 gier — 10 pkt, st. br. 23 : 16. 4) Ruch 7 gier — 9 pkt, st. br. 13 : 10. 5) 1 FC 7 gier — 8 pkt, st. br. 9 : 7. 6) Warta 8 gier — 8 pkt, st. br. 18 : 16. 7) Legia 10 gier — 8 pkt, st. br. 14 : 16. 8) Czarni 6 gier — 7 pkt, st. br. 17 : 14. 9) Pogoń 7 gier — 7 pkt, st. br. 9 : 11. 10) Cracovia 8 gier — 6 pkt, st. br. 12 : 11. 11) Warszawianka 7 gier — 6 pkt, st. br. 9 : 11. 12) Turyści 7 gier — 6 pkt, st. br. 9 : 19. 13) Polonja 9 gier — 3 pkt, st. br. 14 : 26.

RUCH NA P. W. K.

16 czerwca:

Kursy rolnicze „Staszica VIII. ostatni dzień. Zjazd straży pożarnych dzień IV, ostatni, zawody na arenie i wręczenie nagród. Zjazd Położnych — dzień drugi, ostatni. Zjazd Kobiet Pracujących. Zawody w polo — Hippodrom. Pokazy ogrodnicze — dzień drugi.

17 czerwca:

Zjazd ziemianek. Wycieczka z Belgji sfery ekonomiczne — osób 50. Pokazy ogrodnicze—dz II, ostatni. Zawody w polo. Wycieczka nauczycielska z Pragi — osób 50. Zjazd Naucz. Muzyki Seminarjum od 17—20.VI.

18 czerwca:

Wycieczka Belgijska — dzień II. Wycieczka z Ameryki org. Dr. Wusza. Zjazd Meljoracyjny — osób 500—600, 18—21.VI. Zawody w polo — Hippodrom. Wycieczka Deutscher Wirtschaftsbund für Polen Breslau 18—21.VI. Zjazd nauczycieli muzyki w Sem. dzień II.

TEATR

WIELKI:

Dn. 13. Aida.
Dn. 14. Wesele Figara.
Dn. 15. Syrena.
Dn. 16. Carmen.
Dn. 17. nieczynny.

LETNI:

W czepku urodzony W. Rapackiego.

POLSKI:

Wielki Kram Bernarda Shaw.

MAŁY:

Rozum i głupstwo W. Perzyńskiego.

STANISŁAWSKIEGO: (w gmachu kina „Rococo")

Dn. 13. Wuj Wania — Czechowa.
Dn. 14. Na dnie Gorkija.
Dn. 15. Bracia Karamazowy Dostojewskiego.
Dn. 16. Żenit'ba Czechowa.

QUI - PRO - QUO.

Gabinet figur wo(j)skowych.

MORSKIE OKO.

Warszawa w kwiatach.

Jedź i podziwiaj wielkie dzieło zbiorowe narodu polskiego PWK w Poznaniu, bo nie wiadomo, czy doczekasz następnej Wystawy, która nieprędko stworzoną być może.

KINO

Colosseum:
Najpiękniejsza kobieta Paryża z Elgą Brink.

Filharmonja:
Teresa Raquin Emila Zoli.

Pan:
Dalsze dzieje Tarzana Edgara Rice Burroughsa.

Capitol:
Dalsze dzieje Tarzana.

Casino:
Romans cygański.

Stylowy:
Mężatki, strzeżcie się z Clary Windfon.

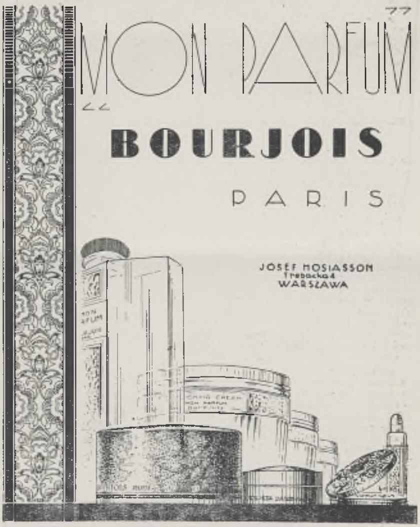
Quo Vadis:
„Bracia" z Helą Mają i Hansem Mirendorfem.

Apollo.
Golgota uczciwej kobiety z Iwanem Mozżuchinem.

Słońce:
Syn Szeika na scenie Co pani chce?

Światowid:
Prawo szpady i Kaprys miljonerki.





„Grunt to forsa!"

„Życie nie jest romansem"... „grunt, to forsa"— oto dwa komunały, które coraz donośniej, coraz triumfalniej rozbrzmiewają na świecie. „Cóż trzeba do szczęścia? — zapytuje w swych ogłoszeniach jeden z popularnych jubilerów paryskich — trochę złota... My zaś płacimy najwyższe ceny za używaną biżuterję"... Pytanie: „A ile mi dasz?" rozlega się dziś nietylko na czarnej i na białej giełdzie papierów procentowych, lecz nawet w romantycznym cieniu drzew, w którym tuli się do siebie jakaś młoda parka... Nawet małe bobo, wzdychając przed wystawą cukierni lub sklepem z zabawkami, powtarza: „glunt, to folsa" — słowa, które przed chwilą usłyszało z ust zalotnej mamusi, przed wystawą eleganckiego magazynu futer...



Nancy Carrol, gwiazda „Paramountu", olśniona widokiem swej miesięcznej gaży.

Nawet natchniony poeta, oderwawszy pióro od białej kartki papieru, na której czernią się lub niebieszczą długie szeregi wierszy, oblicza skrupulatnie, ile mu za nie w kasie wydawcy zapłacą...

Jakże daleko odbiegliśmy od czasow Djogenesa, który Aleksandrowi Macedońskiemu jedno tylko postawił żądanie: aby król usunął się na bok i nie zasłaniał mu słońca... Jak dziwnie obco brzmią w naszych uszach słowa mądrego nauczyciela Nerona, Seneki, który twierdził, że ten jest największym bogaczem, kto daje sobie radę w biedzie... Kto z nas nie wzruszy ramionami, czytając w liście Michała Anioła „do Nieznajomego" te dziwne, a dla nas już niezrozumiałe słowa: „Po długich i straszliwych wysiłkach znalazłem to, czego szukałem: jestem ubogi"...

„Lękamy się ubóstwa — pisał W. James już o ludziach przedwojennych — pogardzamy tym, kto skazuje się na biedę, aby uprościć swe bytowanie i ocalić swe życie wewnętrzne. Nie jesteśmy już zdolni nawet wyobrazić sobie, co mógł oznaczać naprawdę starożytny ideał ubóstwa: wyzwolenie od wszelkich ciężarów materjalnych, doskonałą niezależność ducha i męską pogardę rzeczy przyziemnych"...

Czy nie warto jednak nieco głębiej zastanowić się nad tem, czy „grunt, to forsa" jest skutkiem tego, że „życie nie jest romansem", czy też odwrotnie — „życie nie jest romansem" właśnie dlatego tylko, że dewizą współczesności jest: „grunt, to forsa"?...

Pieniądz może pomóc do zdobycia szczęścia. Lecz sam przez się nie jest w stanie szczęścia tego zapewnić. Sokrates nazywał bogaczami nie tych, którzy posiadali skarby olbrzymie, lecz tych, którzy umieli skarbów tych używać. Zaś współczesny nam Gustave le Bon głosi, że nie kapitał stanowi o potędze państw i narodów — lecz IDEAŁ.



Richard Dix powraca z kasy „Paramountu", obładowany dolarami.

Państwa i narody rozkwitały w miarę potężnienia ich ideałów — a kłoniły się do upadku w chwili, gdy się im sprzeniewierzały.

Tak, panowie i panie. Pieniądz jest jednym z wielu złotych kluczy sezamów szczęścia. Bywa środkiem — nigdy zaś — celem.

Pejot.



Ruth Taylor również zarabia całe stosy banknotów dolarowych... (Fot. „Paramount").

„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie
Prenumerata kwartalna: 6.50 złotych, półroczna 12.50 złotych wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2.
Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19.447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.
Redaktor naczelny: JAN PIOTROWSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.
Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 172-22 i 177-98.